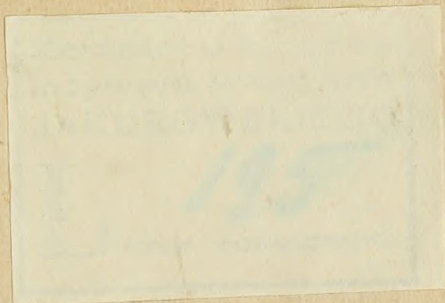


HISTORJE LWOWSKIE

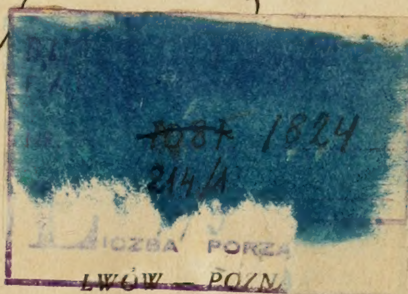


STANISŁAW WASYLEWSKI

HISTORJE LWOWSKIE

LEO SEMPER VIGILAT

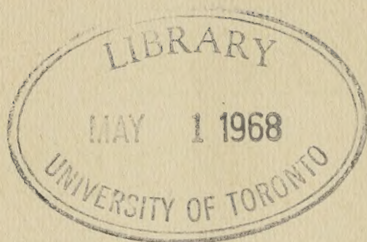
Napis na arsenale lwowskim



LWÓW — POZN

NAKŁADEM WYDAWNICTWA POLSKIEGO

1921.



Z TŁOCZARNI WYDAWNICTWA POLSKIEGO

PAMIĘCI JULJUSZA STARKLA

poświęca autor

Leo semper vigilat!

Już Szymon Starowolski w 17-tem stuleciu przyznał rację napisowi, umieszczonemu na facjacie arsenału królewskiego miasta, o tem zaś, jak pilnie czuwał u bram Polski lew potężny, patrycjuszowski, mówili nam nieraz mistrzowscy dziejopisowie: Władysław Łoziński i Franciszek Jaworski. Karty tej książki opowiedzą o lwie niewolnym, spętanym i walczącym w latach 1760 — 1860. Opowiedzą o gorejącym, cudów pełnym temperamencie miasta, które nigdy nie umiało płakać. I o tem wreszcie, co i bez dokumentów żywe jest: o niezłomnej, upartej wieczystej polskości Lwowa.

Może nadmiernym wyda się czytelnikowi entuzjazm, schowany czasem wśród uśmiechniętych słów, raczy wszelako usprawiedliwić autora. Bo pisano tę książkę z uczuciem — synowskiem.

We Lwowie, 25 września 1921.

BARDZO PRZYJEMNE MIASTO.

O Lwowie, zabaw wszelkich wynalazku!
Pełno tu ludzi, pełno wszędzie wrzasku.
Gdzie czas przepędzić, gdzie pieniądze tracić?
Tylko we Lwowie, choćby i przepłacić!

„Silva rerum“ **Polanowskiego.**

Rozkaż założyć czwórkę rysaków do landary srebrnokutej, niech furjer ze strusiem piórem siądzie na koźle od parady, weź worek dukatów obrączkowych oraz pasów nieco — choćby parcianych — do wyciągnięcia karocy, gdy w błocie ugrzęźnie — pojedziemy do bardzo przyjemnego miasta. Przez Lublin, Zamość, Krasnystaw i Żółkiew podążym do Lwowa. Niema tam już wprawdzie owych wilków żarłocznych, które wyły pod namiotem króla Jana na Łyczakowie, i ślad zaginął także po dziewczynie uroczej, co to nią sobie zawrócił głowę król Władysław IV; ale czeka nas wiele innych siurpryz w mieście, w którem nawet ks. kanonik Piotr Skarga bywał czasem lekkomyślny.

Nie posiada miasto owe budowli wspaniałych ani osobliwości nadzwyczajnych. Zgoła nieosobliwe są próchniejące mostki drewniane na Pełtwi, a oba Zamki: Wysoki i Niski — tak mizerne, iżby w nich żaden kasztelan nie zamieszkał. Wiele rzeczy dzieje się tu naopak. I tak znajdziemy we Lwowie Krakowskie Przedmieście i Nalewki. Ale na owem Krakowskiem nie senatorowie, lecz żydowiny plugawe gnieżdżą się, a nalewki wraz z rozolisami wyrabia Imci Baczeles z Marguljesem. Wiedzcie wszelako, że matka przyroda obdarowała miasto niezwyczajnym temperamentem, z którego *senatus populusque leopoliensis* szeroko słynie po świecie.

1*

Inaczej ongiś w tem mieście bywało. Fortuna pieściła je i polscy królowie, małmazyją pijał rajca w trzyokiennej kamienicy, a wszystkie dziwy orjentu przez Lwów wędrowały do Polski. Wśród bram niekształtnych, ale mocnych, do których aż po rok 1704 wróg żaden wstępu nie miał, pleniły się gesty wielkie i szumne splendory. Jakieś przesławne wiktorje nad pohańcami, jakieś wojny kokosze, jakieś ślubowania Najświętszej Panience. Tę przeszłość, bogatą w złoto, pracę i potęgę pamięta może lew kampjanowski na Zamku i Madonna Domagaliczów w katedrze, ale my jej nie pamiętamy, bośmy nie lwy są, jeno zające pudrowane z dworu króla Stasia. Tętni i dzisiaj rozgwar w mieście, ale nie tamten. Bardzo przyjemne miasto, ale nie to samo. Gdzież mieszczki urodziwe, gziące się pośród okien, wyścielonych kobiercami? Gdzie ów arcy-puszkarz wielkiej strzelby, który słoniną harmaty przy święcie smaruje? Gdzie Króle Najmiłościwsze i ten z nich najlepszy, do swej Marysieńki piszący: „Będąc wczora na Wysokim Zamku, uważałem długo zachodzące słońce i biegnące w tamtą stronę obłoczki. O jakożem życzył obrócić się w jaką kropelkę deszczu, albo rosy, a spaść na najśliczniejszą buzieczkę Waszmości!“

Bogata Rzeczpospolita miała Lwów bogaty, a kiedy ją skurczono, odmieniły się dzieje miasta. Szumi i teraz we Lwowie, ale nie proporcami usarji, jeno pustotą. Nie Grek ani Wołoszyn z towarem wjeżdża coraz w bramy miasta, ale rokokowy kawaler z damami. Bo mu jest podrodze. Czy z Ukrainy jedzie do stolicy, czy z Żytomierza śpieszy do Paryża, na wojaż słodki a beztroski, zawsze zawadzić wypadnie o bramy bardzo przyjemnego miasta.

Wszyscy nieomal senatorowie Rzeczypospolitej mają we Lwowie rezydencje. Karol Radziwiłł „Panie Kochanku“ dzierży pałacyk na Krakowskiem, Józef Potocki mieszka za furtą jezuicką, Jan Amor Tarnowski i Poniński trzymają dom otwarty na placu Castrum, sędziwy ks. wojewoda Czartoryski mieszkał doniedawna opodal Kaleczej Góry, wspaniałe apartamenta czekają też przyjazdu ks. generała ziem podolskich i jego głośnej w świecie małżonki.

Jak w Rzymie starożytnym dwóch było konsulów u steru, tak Lwów w dziedzinie splendoru, aparycji i *„bon tonu“* podlega władzy kuchmistrza i pisarza. Bliższych określeń nie potrzeba, bowiem każdy wie, że tu mowa o w. kuchmistrzu koronnym Michale Wielhorskim i wielkim pisarzu kor. Franciszku Rzewuskim. Pan pisarz Rzewuski mieszka w kamienicy królewskiej na Rynku, ale domem jego jest na równi cały kontynent. Zapewne lepiej zna Paryż od miasteczka pod Wysokim Zamkiem i chętniej przechadza się nad Sekwaną, jak po bulwarach nad Pełtwią. Znamy go zresztą z dworu króla Stasia, gdzie bywał marszałkiem. We Lwowie osiadł, gdy mu już na 6-ty krzyżyk poszło. Mimo wieku zawsze równie zawołany jeździec, sawant, hulaka i elegant, zabiegający pilnie, aby salony lwowskie do warszawskich upodobnić. Pan kuchmistrz Wielhorski ma zamek w mieście Stryju oraz i pałac we Lwowie. To ów słynny i mocno ukształcony przyjaciel Jana Jakuba Russa, który dlań napisał swe „Uwagi nad rządem polskim“, to ten wielbiciel pięknie oprawnych książek francuskich, niedawny minister konfederacji barskiej w Paryżu, człek wielkiego gestu i fortuny, ale małego w głowie porządku!

Pod koniec 18-go stulecia miejsce tych obu konsulów zajmie osobnik z innej całkiem gliny, adwokat

Dzierzkowski, człek niezwyczajnej tuszy — i ruchliwości. Będzie całemi dniami biegał po sądach, a zarazem kierował polityką i podtrzymywał kulturę w zamierającym starym Lwowie. O Dzierzkowskim pisze w r. 1800 ks. generałowa Czartoryska do syna: „Nie wiem, czy znasz Dzierzkowskiego, to człowiek szczególny w swoim rodzaju. Nie był nigdzie, nic nie widział, edukację odebrał bardzo zaniedbaną, a jednak wrodzony gust, dowcip, rozsądek, czynią go zdolnym do wszystkiego. Nic mu też obcem nie jest, a kierowany własnem upodobaniem, nachwytał mnóstwo wiadomości. To człowiek najmilszy w całym Lwowie“, chociaż bywali jeszcze milsi.

Niema już we Lwowie Ignacego Krasickiego ani ks. Piramowicza, którzy tu filozofję w akademji jezuickiej kończyli, ale są inni ludzie, cisi i głośni, rwetes w kraju czyniący lub też ukryci w cieniu książek i sztychów, ogrodów pięknie strzyżonych i własnego smutku.

W płaszczyku czarnym z pętliczkami srebrnemi i „obszlegami“ z błękitu, berło złote w ręku trzymając, bierze student Franciszek Karpiński, bakalaureat św. teologji z rąk o. o. jezuitów, a jego protektor, wojewoda bełski Cetner hoduje w swym ogrodzie najrzadsze krzewy świata. Pan Dąbski gromadzi obrazy Rubensa i Tycjana. Pan Wronowski ma w swym pałacu 30 tysięcy ksiąg rozmaitych i kocha artystów, pani Niemierzycowa pisze śliczne wierszyki bezustanku od lat młodych, podobnie czyni pani Szeptycka, gdy tymczasem wojewodzina Kuropatnicka tłumaczy własnoręcznie przedziwne francuskie romanse, pani Humiecka z Lubienia ma karzełka Żużu, o którym już kiedyś słyszeliśmy — jest wiele innych dam świątobliwych i niecnotliwych, a wszyscy myślą jeno, jakby największe iskry wesołości z szarej hubki

życia wykrzesać. W katedrze lwowskiej rezyduje arcybiskup, który kocha sztukę barokową, i jego sufragan, który woli lombra. Ks. arcybiskup przetapia wszystkie srebra kościelne, sprzęty i kielichy najstarsze, aby z nich odlewać nowomodne figury świętych Pańskich, ks. sufragan zasię srebrne talary wykłada raz po raz przy stoliku karcianym.

* * *

Najlepiej wybrać się do Lwowa na owych sześć niedziel zimowych, od stycznia do połowy lutego, kiedy odbywają się kontrakty. Wówczas próżnowanie dochodzi do szczytów — pracowitości. Cała Ruś Czerwona, pół Wołynia i Ukrainy wynajmuje we Lwowie kwatery (po 50 dusiów obrączkowych od izby). Będą śluby, zaręczyny, pogrzeby i obłóczyny z tańcami, reduty, bale i teatry. Pomimo mrozy trzaskające, miasto całe pełne kawalerów w białych pończochach i dam pięknie czubatych. Przybyli ławą dla załatwienia wszystkich owych interesów szlacheckich, które rok cały kontraktów czekały. Sypią się recesy, komplanacje, transfuzje i cesje; ten schedę dziedziczy, ów procenta odbiera, trzeci dobra na żonę przepisuje. Bo rzekomo tylko poto przyjechał. „Co rok bywałem na kontraktach we Lwowie — przyznaje się Ochocki — pod pozorem odbierania procentów od sumki mej żony, lecz traciło się oprócz zakupów czasem dwa razy tyle. Żonie mojej za każdym razem, wyjeżdżając do Lwowa, dawałem słowo, że nie wpadnę w bałamuctwa“. A bałamuctw przeróżnych moc na każdym kroku. Na czas kontraktów przyjeżdżają co najweselsze kokoty Warszawy (wylicza je skrupulatnie Fryderyk Kratter), jest nadto szczwalnia i menażerja, są marjonetki i galerja figur woskowych w trzech sa-

lach. Gapią się na te dziwy goście z partykularza, ile oczu starczy. Trzysta dorożek w nieustannym rozjeździe po wyłożonych (na ten czas) deskami ulicach; u Hechta trzy razy do obiadu na sto osób podają. „Łokieć ręczników za czworaka!“, „trzy szklanki kawy za krajcar!“ — słychać coraz wśród sejmikujących, a otuleni w kożuchy księgarze sprzedają na rynku stare kroniki, kalendarze i dzieła teologiczne.

Dzięki kontraktom lwowskim przeżył spokojnie pięć lat w swem skołatanem życiu pan dyrektor Wojciech Bogusławski i miewał tu czasami parę groszy w kalecie, co mu się chyba nigdy w Warszawie nie przydarzyło. Zjechał ze swą trupą do Lwowa, gdy już w Warszawie nie było komu i za co grać. Graf Rzewuski nie poskąpił szczodrych subsydjów, zaczem pan Wojciech obdarza Lwów — Łazienkami. Pół Lwowa zbiega się do ogrodu Jabłonowskich, by oglądnąć spadzisty pagórek, splantowany w sposobie rzymskich amfiteatrów na trzy coraz wyższe siedzenia. „Śpiew i muzyka — czyli dla otaczających drzew, czyli przez skutek proscenjum, sztucznie odgłos pomnażającego — najprzyjemniej się tu wydawały“. Przez pięć lat z rzędu (1794—1799) wysypywał Bogusławski co tygodnia teatrum swoje świeżym piaskiem, sprzedawszy wpierw „bileta“ do ostatniego. Bardzo przyjemny był teatr w bardzo przyjemnem mieście. Gdy w sztuce wschód słońca miał się ukazać na scenie — gorliwi słuchacze do świtu na prawdziwe słońce czekali. Ilekroć „batalja w Iskaharze“ armat wymagała — to nie papierowe, ale oczywiste, ze spiżu ryczeć poczynały w ogrodzie Jabłonowskich. Młody dependent adwokacki Alojzy Żółkowski tak był widowiskiem zachwycony, że *per pedes* poszedł do Warszawy, by tam zostać najsławniejszym

aktorem. Podobnie szewczyk Benza tak długo wpatrywał się w scenę, aż się ukształcił na znakomitego tragika. Nigdy u króla Stasia nie było tak dobrze Bogusławskiemu, jak teraz we Lwowie.

*
* *

Bardzo przyjemne jest miasto, choć wiosną tonie caluśkie w odmętach błota. I trzeba cały poczet hajduków do pracy zaprzęgnąć, iżby ugrzęzłą w błocku karocę na świat Boży wydobyli. Zdarzyło się nawet, że cesarz Józef II na samym rynku ugrzązł wraz z sześciokonnym zaprzęgiem. Cóż zaś czynił ten monarcha we Lwowie? Odbywał podróż po swym własnym kraju!... Albowiem zapomnieliśmy dodać, że tenże Pan Najjaśniejszy włada obecnie Lwowem najmiłościwiej i że od r. 1772 cała Ruś Czerwona znalazła się w granicach imperjum habsburskiego. Na ratuszu lwowskim, zdobnym dawniej w portrety królów i hetmanów, suszy się w oknach bielizna austrjackich żołnierzy, a waleczne „miszczany“ lwowskie, co dawniej ogniem dział swoich Turków i Szwedów razili, strzelają dalej z armat — w dniu imienin gubernatora. O miasto, które dawniej opierało-ś się Chmielnickiemu i kozaczyźnie, o miasto mężne w potrzebach tatarskich, czemu patrzysz spokojnie, jak ci wywozi Rakus z arsenału „broni ręcznej palnej 42.000 sztuk, harmat pociążnych, spiżowych 12 i prochu w beczkach 26 cetnarów?!“ Lecz miasto patrzy spokojne i ogłupiałe, albowiem prawią mu kawalerowie kontraktowi, że teraz dopiero będzie we Lwowie dobrze i zacznie go miłować — Rzeczpospolita.

Weseli ludzie wieku oświecenia rozpoczęli odwiedzać gwałtownie Lwów od tej chwili dopiero, gdy dostać się można było do miasta za zezwoleniem komory

austrjackiej w Radziwiłłowie czy Bełzcu. Brzydkie przyzwyczajenie ciągnęło po wiek wieków szlachtę polską tam, gdzie można się uczepić jakiejś możnej, ale obcej klamki. A przeto, gdy na wałach gubernatorskich zaciągnęli wartę grenadjerzy eksc. Pergena w konopiastych *harcopfach*, gdy miastem zawładnął *supernumerärer Unterleitnant* w trójkątnym kapeluszu i odwiniętym kabacie — wówczas Lwów wszedł w modę w Rzeczypospolitej. Nawet na Zamku królewskim w Warszawie zaczęto teraz rozprawiać o brudnem miasteczku z nad Pełtwi.

Zaborem Rusi Czerwonej nie trzeba się zbytnio martwić. *Entre nous soit dit*, mój drogi, Rzeczpospolita jest dość wielka, aby tę utratę przeboleć. Czarno-żółty djabeł nie taki straszny, szczególnie dla tych, co już złożyli wiernopoddańcze *homagium*. A zresztą „witał cię pies panie Goess", jak z irytacją zapisał sobie szlachciura jakiś w raptularzu. Komu jak komu, ale wesołkom owym, z którymi wybraliśmy się na wojaż lwowski, bynajmniej krwi nie psuła „odmiana stosunków politycznych". Patrzyli z należną pogardą na obdartusów, którzy zjeżdżają tu tłumnie, zwąc się c. k. urzędnikami na podatki i reformy józefińskie, na trafiki, kasarnie, fiskusy. Kawalerowie rokoka mieli ważniejsze rzeczy na głowie i nie kłopotali się tem zbytnio. „Po trzecim rozbiorze — opowiada człowiek ówczesny — zdawało się, że wszystkie prowincje słowo sobie dały, aby się we Lwowie gromadzić. Bawiono się bez końca, kochano na zabój, grano w karty bez pamięci, upijano śmiertelnie i szalano, jak za dobrych czasów". Przystanią awanturników i garsonjerą bonwiwantów stała się teraz *praeclara urbs Leopolis*. Tonęły karoce na ulicach, tonęły i dusze ludzkie — w błocie. „Syt i przesycony

zabawami rozkosznemi i zbytkiem wszelkiego rodzaju — tak spowiada się w swych pamiętnikach Imci Jan Duklan Ochocki — odjeżdżałem ze Lwowa podobny do charta, zgonionego w polu i nie mogącego się już ruszyć do najłakomszej zwierzyny".

Zasłynął teraz Lwów jako najpierwszy w Rzeczypospolitej *salon de jeu*. Jeszcze za barskich czasów przegrał we Lwowie Branicki 10 tysięcy dukatów, a Kasper Lubomirski 40 tysięcy wygrał. Ks. sufraganowi Sierakowskiemu wypadła raz talja kart w czasie uroczystej celebry i wcale się też nie zgorszył, gdy mu raz pani Mniszchowa posłała w prezencie infułę, ukrytą w pokrowcu z kart do gry. Wszystkie królewięta wołyńskie zjeżdżały się do Lwowa na partję faraona, aż wdał się w zabawę cesarz Józef II, który wydał patent osobny, zakazując najsurowiej „swoim kochanym poddanym galicyjskim gry w macao, farao, trente, straszaka oraz halbzwölf czyli mezzoduodeci. Przestępcy tego zakazu za każdym razem 300 czerwonych złotych za karę zapłacą". Przestępcy wówczas dopiero poczęli grać nadobre i grali przez lat czterdzieści w kamienicy królewskiej u pisarza Rzewuskiego, u Ponińskiego i Turkuła, u Szumlańskiego i u Korytowskich.

Przy stolikach karcianych i na bankietach kontraktowych dali sobie *rendez-vous* co najpierwsi awanturnicy. Kogoż poznać chcecie? Może szarlatana Cagliostra?... Owszem bywał on we Lwowie pospołu z panem Grabianką, owym mistykiem zwarjowanym, który założył w Petersburgu „sektę nowego Izraela" i urządził magiczne obrzędy w Awinjonie! A może ciekawiście papieża karciarzy i hetmana wszech ptaków niebieskich, co to grywał w karty z Marją Antoniną — Walickiego? Odwiedza często Lwów, bo miłuje stawki wysokie.

Zagląda też do miasta ze swej wołyńskiej Tynny stary „książę Denasów“, spokojny już, zmęczony awanturami życia. Ten fantastyczny globtretter i wesoły zdobywca Gibraltaru, który blagą świat cały podbił, ma opodal Lwowa klucz jaryczowski i swą drugą małżonkę z Gozdzkich, zajętą na szczęście na wsi ogrodem i wodotryskami. Gdzie był Cagliostro, Walicki i de Nassau, tam zabraknąć nie mogło Casanovy. Tedy zwabiony sławą przyjemnego miasta, przesiedział tydzień u p. Kossakowskiej, bardzo zadowolony z kuchni, ale mniej z dowcipów weredyczki, gdyż po polsku nie rozumiał.

Nasi dobrzy znajomi z Warszawy znaleźli tu we Lwowie wcale niespodziewanych rywali. Obaczyli bowiem nie bez zakłopotania, że wraz z czarno-żółtym najeźdźcą spadła na Lwów cała falanga obieżyświatów, filozofów, policjantów i wykpigroszów, którzy bujnością swych przygód mogą się śmiało mierzyć z przyjaciółmi signora Cagliostro. Przybyli profesorowie uniwersytetu, którzy uciekają przed kryminałem, oszuści z tytułami grafów, radcy gubernjalni, podejrzani o morderstwa. Ale dla wszystkich znajdzie się miejsce. Lwów słynął zawsze z gościnności.

Najliczniej wszelako zgromadzili się nieznani tu prawie dotąd — wolnomularze. Niemal z pierwszym oficerem austrjackim przyjechał do Lwowa dziwny mistyk z kielnią i fartuszkiem w ręku i jął szukać zwolenników dla kultu Hirama, Wielkiego budowniczego świata. Jak grzyby po deszczu, rosły loże masońskie. Zakładali je kaprale armji Hadika i profesorzy uniwersytetu józefińskiego. L'abbè Baudin rozdzielał w kawiarniach stopnie i patenty masońskie, porucznik von Clemens utworzył dla lwowskiego garnizonu lożę „pod trzema sztandarami“, profesor Fessler, mnich, drama-

turg, uwodziciel, orjentalista i superintendent ewangelicki w Rosji w jednej osobie, przedsiębrał reformę ustroju lóż lwowskich, ale najwięcej skorzystał chevalier d'Arnaud, obrotny syn tapicera z Paryża. Pozyskawszy dla tajemnic masońskich jakąś, bliżej nie znaną hrabiankę Potocką, poślubił ją potajemnie i wziął potem grube odszkodowanie od rodziny. Innego rodzaju ferment wniósł w loże lwowskie pan kuchmistrz Wielhorski, usadowiwszy tam mimo protestów siostrzyczkę, którą, mienił „sławną poetką francuską". Lóż wolnomularskich było we Lwowie chyba tyle, ile — karciarni. Jeno że się efektowniej nazywały: „Pod Prawdziwą Przyjaźnią" (1782) była loża arystokracji, w loży „Trzech Białych Orłów" (1772) orzeł biały nie miał wielkiej pociechy, bo gromadzili się w niej urzędnicy austrjaccy; zato w „Doskonałej Równości" znaleźli pod pokrywką szat masońskich doskonałe schronienie — farmazoni pana Kościuszki.

* * *

Czyje właściwie jest to miasto, w którem mieszkańcy wytworni mówią po francusku, okupanci po niemiecku, co raz mniej pewni, co się w przyszłości z tej Galicji zrobi, czy się ją sprzeda, czy na jakąś inną Serbję zamieni? Co sądzić o tym grodzie skarlałym, do którego zbiegli się włóczęgowie z całego kontynentu. Czy niemasz tu innych ludzi prócz takich, co szukają mętnej wody dla połowu ryb, prócz lalusiów strojnych, urządzających tu ostatnią *fête champêtre* skazanego na śmierć rokoka, czy tylko po to leżą w arsenale ostatnie śmigownice Rptej, by ich Imć Bogusławski do spektaklów używał?

Dniem i nocą trwa dziwne widowisko. Ślęczą do białego rana farmazoni nad tajemnicami siódmego stopnia, cietrzewią się karciarze przy faraonie, a co godzina wygrywa trębacz z wieży ratuszowej hejnał na cztery świata strony i co godzina słychać prastarą i śmieszną śpiewkę stróża nocnego:

Pan burmistrz i ławnicy
Ślą ostrzeżenie wam,
Aby nie palić świecy
I nie otwierać bram!

Stary Lwów królewski, emporjum Kampjanów i Alembeków śle z za grobu daremne ostrzeżenie ludziom, którzy żadnych przestróg nie słuchali.

Czy istotnie stara śpiewka stróżów nocnych gінęła bez echa w mrokach nocy? Już przecież dawny kronikarz nazwał stolicę Czerwonej Rusi Lwowem potrójnym — *Leopolis triplex*. Więc może i teraz obok Lwowa rokokowego i austrjackiego, karciarskiego i obojętnego znajdzie się jaki trzeci Lwów — polski?

Podobnie jak w lesie odwiecznym wykwitają wśród próchna zwalonych kłód gałązki młodych drzew, tak we Lwowie, na starym gruncie spróchniałej Rzeczypospolitej, rość jęły gwałtownie pędy młode, rwące się ku nowemu życiu. Chcecie szukać polskości Lwowa w 18-tem stuleciu? Zaglądnijcie któregoś południa latem r. 1792 do ogrodu Jabłonowskich i spójrzcie w twarz rycerzyka, który samotny przechadza się po alejach parku. To ks. Józef. Pójdźcie i wieczorem do tego samego ogrodu, gdy setki rozpłomienionych gęb aplauduje sztuki narodowe Bogusławskiego. A potem zajdźcie do kancelarji mecenasa Dzierzkowskiego, gdzie właśnie zebrał się na naradę konwentykiel lwowskich „jakobinów“,

a przewodzi im przybyły z zagranicy oficer inżynierji z perkatym nosem — Kościuszko. Przypomnieć jeszcze trzeba wzburzenie pani Bielskiej, gdy chciała strącić ze łba kapelusz Austrjakowi, a także posłuchać, co raportują *ganz geheim* do Wiednia gubernatorzy Lwowa. Nareszcie niech nas umocni sekretny wierszyk, który obiega miasto w odpisach. „Młoda Galicjanka“ woła tam do „dam polskich“:

Polki wolne! słuchajcie niewolnicy głosu.
Wy, co nie znacie smutnych znaków mej niedoli,
Co czujecie moc szczęścia, co wam wolność miła,
Patrzcie: ja dźwigam znamię haniebnej niewoli,
Ja, co się równie z wami Polką urodziła!

a smutną elegję taką kończy przestrogą:

Jeśli głos niewolnicy, od was pogardzony,
Jeśli litości wasze serce nie uczuje,
Wspomnijcie, że i wasz los nie jest zapewniony,
Że ręka, co nas więzi, na was łańcuch kuje.

Lwowa polskiego idźmy dalej szukać na posiedzeniach owej loży masońskiej „Doskonała Równość“, w której zamiast głupkowatych obrzędów omawia się plany przyszłego powstania przeciw Austrjakom. Lwów polski mówi między wierszami jedynej wówczas gazety politycznej w Polsce, która wychodziła we Lwowie pod wiele mówiącym mianem: „Dziennik patrjotycznych polityków“. I w wielu innych, ukrytych przed okiem rakuskiem miejscach skrywa się wierząca w jutro polskość miasta i ziemi, choć czasem rozbłyska nagle wpośród tłumów w niedzielne południe na rynku. Tak w dzień Wielkiej Nocy roku 1798 prowadzili policjanci dziwnego więźnia ulicami: był zbiedzony i rozczochrany, lecz zwracał powszechną uwagę, albowiem wśród łachma-

nów jego szat błyszczał jak na urągowisko — złoty klucz szambelański. Więźniem owym był — Walerjan Dzieduszycki, dumny karmazyn i wytrwały rycerz niepodległości, nieustraszony kolaborator powstania kościuszkowskiego, towarzysz jego prac i zamysłów. On to właśnie zaraził loże masońskie myślą rewolucyjną, on wraz z Deniską, Dzierzkowskim i Siemianowskim organizował pierwszą po trzecim rozbiorze próbę chwycenia oręża do walki. Na domiar złego okrutny jakobin wniósł, o zgrozo, memorjał do dworu wiedeńskiego z projektem odbudowania Polski pod berłem Habsburgów. Za to go aresztowano, internowano i na pół roku osadzono wraz z Kołłątajem w twierdzy ołomunieckiej.

Nie dla wszystkich jednako przyjemne było miasto, lecz już przecież potroszę świadome czasów nowych i przemian wielkich, których dokonać w niem miało stulecie nowe, rodzące się wśród błyskawic, jak burza.

ZŁOŚLIWA PANI Z GÓRY ŚW. JURA.

C'est le 15-ème siècle, qui est venu voir le 18-ème

Ignacy Potocki.

Jeśli komu, to pani kasztelanowej kamieńskiej godzi się najpierw złożyć uszanowanie, bo dominuje nad tłumem szlachty czerwono-ruskiej tak, jak św. Jur, jej rezydencja włada nad Lwowem i okolicą. Tu właśnie na pokojach pani kasztelanowej biorą początek owe nieprzeliczone dowcipy, słone fraszki, ułańskie anegdoty, stąd rozbiegają się po wszej Rzeczypospolitej niby wesołe uniwersały, niby wici zjadliwe i wołające: sam tu do mnie, wszyscy malkontenci! Pani Kossakowska wygadała sobie nieśmiertelność i konceptami zdobyła taką popularność, że aż nie wiedziała, do czego jej użyć. To pewne, że Polska cała — ostatnie pokolenie Rzpltej — pielgrzymuje do lwowskiego pałacu weredyczki, aby pokłonić się i nadziwić białogłowie, która się nie boi ani króla w Warszawie, ani cesarza we Wiedniu, ani papieża w Rzymie. O każdej porze dnia dostaje swój czy przyjezdny brat szlachcic sutą porcję bigosu hultajskiego, kawał sztokfisza i boki zrywa z dowcipów, suto asafetydą zaprawnych. A także wiedzcie, że tutaj terminował ten lwowski dependent adwokacki, co potem przez dziesiątki lat rozśmieszać będzie Warszawę — Imci Alojzy Żółkowski.

Pani Kossakowskiej dowcip trzymał w ryzach pół Polski przez pół wieku, a u potomnych dał jej imię wielce szanowne. Uważano, że jest „ostatnią matroną

polską“. Innym znowu wydawała się doskonałem uosobieniem hasła: „*Polonia fara da se*“, ukrytego pod robronem kobiecym w czasach, kiedy fryzowane harcopfy albo zupełnie o niem zapomniały, albo, co gorsza, sprzedawały je skwapliwie za worek petersburskich dukatów.

Owa sława nieśmiertelna stąd poszła, że pani kasztelanowa miała temperament jeden z najbujniejszych, jaki się kiedykolwiek w trusi białogłowskiej dawnych czasów objawił. Pamięć ludzka nie zapamiętała w Polsce drugiej tak obrotnej, wygadanej, pracowitej i upartej. Miała spryt dziesięciu senatorów, a choć słabo piśmienna, zwykła jednego popołudnia dyktować więcej listów, niż ich jaki taki magnat przez życie całe napisał. Obdarował dalej Pan Bóg panią Kossakowską szelmowskim sprytem politycznym, umiejętnością grania na instynktach tłumu szlacheckiego i legendarną poprostu odwagą cywilną w czasie, kiedy ogół cierpiał mocno na „defekt odwagi“. A obok tego spory bukiecik wszystkich chwastów, jakie Polskę saską zarastały. Butne wielmożę, choć w robronie, stała się „praczka imienia Potockich“ jednym z największych szkodników politycznych, jacy plądrowali w epoce oświecenia. Praczką zwano ją przeto, bo z domu Potocka, jeden tylko interes rodu tego miała na oku: niech się zawali świat i korona polska, niech ją rozdrapią Turki i Jadźwingi, byle tylko wszyscy moi familjanci wyszli z opresji bez szwanku. Pani na Toporowie, Bohorodczanach i Stanisławowie, wdowa po karłowatym kasztelanie, od rana do ciemnej nocy politykowała na prawo i lewo przez dobrych lat nieomal sześćdziesiąt, wichrząc, intrygując, procesując się i kłócąc z każdym, był li to monarcha i arendarz, arcybiskup czy chłop ruski, król polski czy imperatorowa habsburska. Wiedziała, gdzie trzeba kupić kreskę

sejmikową antałkiem wina, gdzie korzec żyta posłać, gdzie zaś pomstą zagrozić. Tu wrzasła głosem tubalnym, tam trafiła przez proboszcza, ówdzie policzek siarczysty wycięła, lub w karocy po prośbie pojechała.

Wszędzie jej było pełno i wszędzie o niej głośno. W starym piecu djabeł palił siarczyście, więc lękał się jej, kto żyw, jak ognia. Nie do pojęcia, jak się tej baby bano. Podobno Repin chował się całemi dniami w swym domu w obawie, że go dopadnie i zwymyśla, cesarz Józef II surowo nakazał, iżby spełniano wszystkie jej życzenia, zaś na audjencji „prosił ją siedzieć na krześle, które tylko jedno było“. Marja Teresa uczyniła niewiastę co prędzej dla świętego spokoju damą krzyża gwiaździstego i świętego państwa rzymskiego hrabiną. Kaunitz otaczał ją wielką rewerencją; biskup Krasicki starannie wywijał się i uciekał przed jej intrygami, uważając ją za „najniebezpieczniejszą dla bezstronności sędziowskiej“; — dyplomaci austrjaccy nie wiedzieli, jak skakać koło staruszki; a wszyscy ambasadorzy pamiętali, że z tą złą babą lepiej nie szukać zwady. Przyzwyczajono się wkrótce, że dla „rzędziochy“ niema progów zbyt wysokich, byle o co z królami się prawuje; a gdy zniesiono zakon jezuitów, to wprost w Watykanie *veto* założyła i jakiemuś kardynałowi impertynencje wypisała!

Poglądy polityczne zmieniała częściej, niż kornet biały, który zdobił jej odwieczną fryzurę. Wszystko zależnie od chwilowego interesu domu Potockich. Z każdem z mocarstw zaborczych wchodziła po kolei w kontakt, zależnie od tego, jaki najeźdźca w dobrach jej grasował. Kiedy w roku 1767 Kreczetnikow zajął Lwów, pani Kossakowska płakała z radości, goszcząc oficerów rosyjskich — pałac Jejmości gorzał iluminacją

a stoły zastawione uginały się dzięki szerokiemu gestowi fundatorki. W czasie konfederacji barskiej gwałtownie znienawidziła Rosjan jako prześladowców religji katolickiej i majątku Potockich. Wtedy kokietowała Prusaków i nosiła w tabakierce portret Fryderyka. Po pierwszym rozbiorze znowu, gdy gros jej dóbr znalazł się pod okupacją austrjacką, kasztelanowa uczuła się nagle entuzjastyczną zwolenniczką Wiednia i pierwsza podążyła z hołdem w r. 1773. Zacierali ręce okupanci, obiecując sobie, że będzie im podporą w Polsce i wielką pomocą w „urządzaniu Galicji". Naiwni, ani przypuszczali, że to jeno chwilowa konjunktura kazała „rzędziosze" zrobić minkę przyjemną.

Ten, a nie inny był podobno powód, dla którego Stanisław August Lwowa nie lubił. W tem mieście rezydowała najmożniejsza z jego nieprzyjaciółek — pani Kossakowska. Istotnie, wśród wielu nienawiści kobiecych, które tron królowy podgryzały, na nią jedną nie było sposobu, ani też z nią nijakiej nadziei porozumienia. Stanęły bowiem naprzeciw siebie dwa światy. Jak żywy, rażąco jaskrawy anachronizm weszła pani kasztelanowa Kossakowska pomiędzy ludzi epoki oświecenia. I miał zupełnie rację jej wychowanek Ignacy Potocki, gdy pisał do kogoś za granicę: „*C'est le 15-me siècle, qui est venu voir le 18-ème*".

Markotno było jej patrzeć na oświecone sawantki, które kąpią się w wannie i w Boga nie wierzą. Pozostała już prawie sama jedna z czasów owych, kiedy to białogłowa, pod szyję wysoko zapięta, „modlitwą miała zaprzątnięte członki".

A właśnie król, owa pudrowana figurynka (pani kasztelanowa pudru nigdy nie używa) winien jest wszystkiemu. O jakiemś oświeceniu prawi bezustannie i Polsce

mądrą być nakazuje, gdy tymczasem wiadoma rzecz, że „szlachcie więcej nie trzeba nauki, tylko Boga kochać i ojczyznę, piwo z serem jadać, nie po kawę biegać panom studentom i profesorom“. Król Ciołek winien jest znikczemnieniu Polaków: on sprawił, że kobieta polska jest bez „czoła i stanu“, on Rosję na kark Rzeczypospolitej sprowadził, on wszystkiemu jest winien, bo co innego, kiedy pani kasztelanowa przed lada oficerem rosyjskim się płaszczy, sałdatów na rynku lwowskiem tuczy, albo sforę popów schizmatyckich do służby szpiegowskiej przyjmuje. To było zgodne z interesem Pilawitów. A król codzień komu innemu służy. „Polska barłogiem stoi — woła pani Kossakowska — nic dziwnego, bo ma cielę na tronie. Wyrzućcie cielę, a barłogu nie będzie“.

Uderzyły na się dwie epoki cywilizacji polskiej. Walka była zacięta i śmiertelna, a nienawiść tak straszliwa, że pani Kossakowska radowała się niemal rozbiorem Polski, bo był „ciołkowego królestwa“ rozbiorem. Jak żołnierz ostatni na wyłomie walczyła przeciw przeobrażeniom społecznym i kulturalnym, dokonywującym się w jej oczach. Surowa werydyczka, wyliczająca bez litości dziewczynie 40 plag na kobiercu, jeśli ją o „peccatum“ cudzołostwa obwiniono, entuzjastka ciemnych potęg anarchji, zawzięta „*temporis acti*“ laudatorka. Nazajutrz po elekcji zawyrokowała pani Kossakowska nieodmienie: „Ja na tego króla patrzeć w życiu mojem nie będę, chyba wtenczas, kiedyby mi Pan Bóg tam dał oczy, gdzie rakowi“. Mocne było słowo i porównanie, ale wcale nie najdrażliwsze z tych, które dały nieśmiertelność pani kasztelanowej.

W dniu, w którym stolnik litewski płaszczem koronacyjnym się okrył, stanęło w pałacu św. Jura we

Lwowie wotum solenne: powiedziała sobie pani kasztelanowa, na wdowieński celibat przysiągłszy, iż przed takowym królem nigdy głowy nie uchyli. I przez lat 40 wytrwała w tym zamiarze. Minęły od elekcji lata. Ujrzy nieraz pani Kossakowska ciołka w Warszawie, zimnem okiem go obrzuci, szczecinę swych brwi twardych naszczurzy, ale ani myśli o należnej dla majestatu rewerencji. A spotykają się nieraz.

„Szłam — opowiada w jednym liście z dumą — z kompanją dam przez ogród saski. Aliści król nadszedł i zatrzymał się. Ja ukłoniłam się zwyczajnie i poszłam. Mówiły mi damy, że trzeba było, ażeby mnie kto prezentował, jam powiedziała, żem nie kwiatek, abym w ogrodzie prezentowana była!“

Folgowała sobie kasztelanowa we fochach i fulminowała dowcipami, gdzie tylko mogła. Złośliwe ucinki i dogryzki listowne biegały wciąż po Rzeczypospolitej.

Nareszcie przyszło im na noże. Należy wiedzieć, że pani Kossakowska przy całej ciemnocie i obskurancji zastępowała matkę jednemu z najmądrzejszych ludzi 18-go stulecia. W domu jej chował się współtwórca ustawy majowej i arcyrozumny polityk Ignacy Potocki. Kroił się właśnie marjaż Potockiego z marszałkową Lubomirską, jedno z wybitniejszych wydarzeń rodowych w Polsce. Pan młody, sztuka ambitna, zamyślał o najpierwszych w kraju godnościach i brał za marszałkówną wiele worów złota, brał włości i splendory. Proszą króla na wesele. I oto ten król, który zawsze i wszędzie na wszystko zgodę miękko dawał, nagle kondycję nieugiętą stawia: „Żądam, aby pamiętali, iż należy, żeby kasztelanowa kamieńska, która od elekcji tyle razy mieszkawszy w Warszawie, afektację tem pokazała hardą, żeby się nigdy mnie nie prezentować — a przytem

wiadomo wszystkim, z jaką zapalczywością kalumnje i czernidła wszystkie na mnie rozsiewała nieprzestannie...". Rzadko się zdarzało, że tak wziął na ambit aksamitny pomazaniec. „Żądam, aby przestała tych fochów i jak należy mnie prezentowała". Rzekł król jegomość, ale któżby go słuchał?... a tem mniej uparta pani z góry św. Jura. Daremne namowy ks. kanclerza i ks. marszałka.

— Jestem nazbyt stara, aby odmieniać swoje maksymy!

Raczej małżeństwo całe zerwie, a swego nie odstąpi. Więc próbowano namawiać króla, aby nie zważał na upór twardy, lecz był na weselu. Król się rozsierdził, jak nigdy dotąd. („W jednej chyba Polsce dziać się to może, żeby siostrzenicę królewską deklarowano, nie spytawszy się króla o to"). I ostatecznie — przegrał. Kasztelanowej nie ugiął, na wesele nie poszedł, a na domiar złego doniesiono Jego Królewskiej Mości o słowach pani marszałkowej, która *enfin* powiedziała, że ostatecznie jakoś się to wesele bez króla obejdzie!...

Uparta dama z góry św. Jura triumfowała; wesele to było jedną z najmilszych jej chwil w życiu. Przyodziała się w nowiutki robron i długie angażanty z brabanckich koronek i tubalnym głosem naśmiewała się z króla Stasia, który samotnie siedział w Łazienkach.

Przez długie dziesiątki lat trwała nienawiść między Łazienkami a pałacem św. Jura, aż jej wreszcie koniec położyła — ustawa majowa. Gdy zmięknąć musieli nawet najzaciętsi, a uwierzyć i najnieufniejsi — odtajała nareszcie i rzędziocha tak dalece, że gdy w lipcu 1791 Branicki planował zamach i porwanie króla z Łazienek — ona, za pośrednictwem Niemce-

wicza, ostrzegła króla o tych machinacjach. Namawiano ją tedy, by uświetniła obecnością swą uroczystość ogłoszenia konstytucji. Lecz oczy bolały właśnie panią Kossakowską. Tedy rzekła: „Powiedzcie Najjaśniejszemu Panu, że radabym w dniu takim, popatrzeć na niego dobremi oczyma, ale sami widzicie, że musiałabym złemi i dlatego nie pojadę!"

W rok później dopiero zgodę zapieczętowano, a fakt był tak rozgłośny, że nawet poseł rosyjski, Bułhakow w kwietniu 1792 zanotował go w swych raportach: „Wczoraj król pogodził się z kasztelanową kamieńską, której, jak sam powiada, nie widział już trzydzieści siedm lat".

W całej Rzeczypospolitej miała pani kasztelanowa włości oraz interesy mnogie, ale Lwów upodobała sobie nadewszystko. Tę ciasną lwowską rezydencję wolała od trzystu pokojów zamku w Krystynopolu i od swych posesyj w Stanisławowie. A już o Warszawie i mowy nie było. Miesiąca ni razu wysiedzieć nie potrafi w stolicy, narzekając na sanki z dzwonkami, na modne wymysły i asamble. Ze Stanisławowa znów wygonią ją rychło szykany *kreisamtu* („któreby mi zdrowia ujęły albo do batalji bez strzelby przyprowadziły") tedy osiada na stałe we Lwowie. Między ulicą Szeroką a Sykstuską w późniejszym gmachu Tow. kredytowego wznosiło się dziedziczne *pallatium Kossakowskianum*. Pożar tej starej rudery kazał pani kasztelanowej oglądnąć się za inną, przystojniejszą rezydencją. Samotna wdowa odnowiła po śmierci męża stary pałacyk pod katedrą ruską na górze św. Jura i odtąd lwowski Awentyn szeroko w Rzeczypospolitej zasłynął.

Rozsiadł się tu dwór, po sasku szumny. W otoczeniu pajuków, laufrów i strojnego fraucymeru udzie-

lała audjencyj wpływowa pani, która niech jeno palcem skinie, a cały tłum szlachty czerwonoruskiej za szable chwyci. Przy suto zastawionych stołach, przy skromnych, bo z postem obiadach piątkowych znajdował się tu, kto żyw i niezadowolony z rządów austrjackich, podobnie jak dawniej przychodzili nieprzyjaciele króla Stasia. Dowcipy Jejmości inny wzięły teraz kierunek. Jak dawniej kłuła szyderczą igłą przeciwników Pilawy, tak teraz na język bierze wonnych kawalerów i damy bez czoła, łaszące się nowemu panu, który, czyż nie widzicie, kraj cały w pustynie nam przemienia! Wiadomo, że komornikowi, co ją fantować przyszedł, nocnik srebrny z sypialni wynieść kazała, a wobec ostrych przycinków nie ostała się sama Najjaśniejsza Pani. Zaczem gubernator austrjacki nagle odmienił zdanie i chybkie sztafety śle do Wiednia, że św. Jur już imperjum habsburskiemu grozi. Lecz patrzać musi bezradnie, bo mu zakazali z Wiednia tykać majestatu damy, do której na Awentyn sznurkiem jadą powozy. Pielgrzymował na górę św. Jura ks. biskup Krasicki i Tadeusz Czacki, Greczynka Wittowa i ks. generałowa Czartoryska; był tam sowizdrzał Casanowa a także — ku przerażeniu swoich adjutantów — cesarz Józef II. Przybywszy, dziwił się imperator, że dama zgarbiona i że się dotąd po niemiecku nie nauczyła.

— „Rodzice moi nie spodziewali się, abym na starość mieszkała w obcym kraju — rzekła — a że zgarbiona jestem nic też dziwnego, skoro lada kanceliście ciągle się kłaniać muszę!“

Ale to też był ostatni uśmiechnięty Austrjak na dworze pani kasztelanowej. Bo oto już pod sam koniec dokonała się w niej dziwna odmiana. Ten sam głos sumienia, który saskiego warchoła do świątyni Sejmu

wielkiego zaprowadził, każe teraz pani Kossakowskiej przeinaczyć ambicję. Praczka rodu Potockich, nieszczęsna warcholica, kłaniająca się komu nie trzeba, przedzierzga się nagle pod wpływem czasów podłych w nieustępliwą matronę, w orędownicę, budzicielkę śpiącego jeszcze Lwowa. Padają jak dawniej pioruny z oczu Jejmości, ale godzą w ludzi mydlanych i miana Polaka niegodnych. Jużby się teraz Kreczetnikow nie ośmielił przysłać oficera ordynansowego dla zabawy „rzędziochy", ani też gazety wiedeńskie nie chwalą jej za piękną iluminację. Od czasu, gdy ustawa majowa świeci nad Polską, od czasu, gdy dobre duchy imać się poczęły pracy nad odrodzeniem, inni ludzie rząd wzięli na górze św. Jura, inne zaczęły się schadzki i pogwarki przy sztokfiszu. Pierwsza ze Lwowa krzyknęła patrjotom *vivant* dawna warcholica, a rzuciwszy najtwardszą w swym słowniku sentencję na lwowskich karciarzy — przystała do Kościuszki.

Pokumał się był Naczelnik z rzędziochą po raz pierwszy wtedy, gdy po wiktorji zielenieckiej a po haniebnem mimo to przejściu króla do Targowicy, zjechał był przez Puławy do Lwowa. Przeczuł w nim Lwów bliskiego bohatera w sukmanie, uczciwszy generała wierszem płomiennym Alojzego Felińskiego w „Dzienniku patrjotycznych polityków". Staruszce przypadł generał do serca szczególnie. Miłuje rzędziocha bohatera wielce, a że nie dosłyszy, więc pilnie trąbkę do ucha przykłada, gdy generał plany swoje deliberować pocznie. Choć po wsze czasy węża trzymała w kieszeni, chce mu teraz nawet jakoweś dobraj w Koronie ofiarować, 20.000 złp. intraty niosące. Ledwie się Kościuszko wymówi i tylko laskę kosztowną w prezencie przyjmie od matrony. Jeno różnią się w poglądach. Pan

generał jest człekiem gołębiego serca i wszystkim ludziom ufa, nawet kukłom austrjackim, kasztelanową życie nauczyło dmuchać na zimne, tedy radzi zapaleńcowi: Nie dowierzaj Niemcom, Mości generale, nie buduj na wabnych słówkach wiedeńskiego dworu, a gdy bić zaczniesz, to bij w imię Boże Rakusa z Moskwicinem pospołu. A przez to Lwów nasz oswobodzisz!

* * *

Niebawem doczekała się staruszka wojny upragnionej lecz z Moskwicinem tylko, bo wytłumaczył jej pan Kościuszko, że Rakusa „menażować“ trzeba. Całem sercem przylgnęła do spraw insurekcji, młoda, zapalona, ósmego krzyżyka niepamiętna. Dobrała sobie do pomocy młodzieniaszka, któremu również ósmy krzyżyk bary zgiął ku ziemi — ks. biskupa Krasińskiego. Ten stary barski konfederat i przyjaciel ks. Marka, wiecznie o potrzebie z Moskwą marzący, rozgorzał także zapałem młodzieńczym. Pospołu wzięli się do pracy staruszkowie, sto sześćdziesiąt wiosen samowtór liczący. Ekspedjowali oboje do obozu pieniądze, które ks. biskup u magnatów wyprosił, ekwipowali ochotników, spieszących pod sztandar kosynierski. Krzątała się jak ongi na sejmikach rzędziocha i wzdychała przytem smętnie. Bo gdyby ino słowo rzekł pan Kościuszko, to przecież cały tłum szlachty czerwonoruskiej, wiernej jej z dawnych czasów, podąży z szerpentynami na lwowskie gubernjum i pomoże Naczelnikowi wygnać Niemca ze Lwowa. Snać ważną musiała być ta praca, skoro Jejmość codzień sztafety od Naczelnika odbiera. O te sztafety nawet się raz poswarzyli staruszkowie ze sobą. Bo, zdaje się, rozgadywała Jejmość sekrety, w listach zawarte, czemu ks. biskup, świadom polityki, przyga-

niał. Coś niecoś dowiadujemy się o tem z listu współczesnego: „Sekret był kwadrans, a potem każdy z osobna wiedział o nim“. Stąd poszło, że „wiadomości, jakie odbiera biskup, nie chce komunikować Jejmości, na co się użalała...“

Za sprawą „rzędziochy“ wnet cały Lwów rozgorzał przychylnością dla sprawy: wszyscy „jakobini“ zgromadzali się co wieczora na górze św. Jura, radząc nad pomocą dla żołnierzy w sukmanie. Piął się, sapiąc, pod górę „gruby adwokat“ pan Dzierzkowski; przyjeżdżała pani Mniszkowa, którą do Paryża wysyłali; przychodzili zacni i ofiarni państwo Morscy i pani Krasińska, starościna opinogórska, i mecenas Węgleński i bohaterski Dzieduszycki z Siemianowskim i wielu innych ludzi zapalonych, których we Lwowie „farmazonami pana Kościuszki“ nazywają. „Mecenas Węgleński posyłał ze Lwowa do obozu jakiś przedmiot tajemny, w listach oględnie „teleskopem“ nazywany; pan Morski ładował bryki czemś ciężkiem i otwierał z westchnieniem stajnię, pełną źrebców bardzo pięknych“. Nowy Lwów rodził się na Awentynie.

Nareszcie strach obleciał Austrjaków. Bo nuż dama zapalona rzeknie słowo, tylekroć przez nią obiecywane, i mrowie szlachty okolicznej uderzy na gubernjum? Dlatego trąbi coraz na alarm naczelny wódz armji austrjackiej w Galicji bar. Harnancourt, uważając panią Kossakowską za „najniebezpieczniejszą dla spokojności Lwowa i Galicji“, dlatego dyplomata Cobentzl aż z Petersburga donosi Kaunitzowi z przerażeniem: „U pani Kossakowskiej, we Lwowie, zbiera się co„dziennie towarzystwo polskich jakobinów. Co więcej „ma ona nawet u siebie w domu drukarnię, gdzie „w tajemnicy tłoczy się nowiny i paszkwile, które się

„w tem towarzystwie układa. Ta pani jest bardzo sę-„dziwa, nie zna innego języka, tylko polski, jest ona „wprawdzie bardzo przyjemna, ale stała się zawziętą „jakobinką“. Pod wpływem i zachęty pani Kossakowskiej jęły się damy lwowskie pracy narodowej i także zostały przez owego Cobentzla oskarżone o „jakobinizm“. Donosił on, że pod wpływem pani kasztelanowej pozostaje urocza wdówka Mniszchowa, „arcy-jakobinka“, u której co wieczora gromadzi się złota młodzież pod pokrywką działań masońskich. Także piękna pani Matkowska, żona adwokata a kochanka ks. Kazimierza Sapiehy, sprzyja gorąco rewolucjonistom. Siew pani kasztelanowej wschodził.

A potem prysły różowe nadzieje lwowskich przyjaciół pani kasztelanowej, którzy czekali, że Naczelnik Kościuszko, pobiwszy Moskala, odbierze Lwów Austrjakom. Dnia pewnego sztafety przyniosły do Awentynu złą wieść o klęsce maciejowickiej — a obojgu staruszkom ręce opadły zniechęcone. Pani kasztelanowa, nic o świecie wiedzieć nie pragnąc, wyjechała do Krystynopola, by tam oczekiwać śmierci.

Drylowała galony i hafty; gazet, przez lektora czytanych, nawet przez trąbkę nie słyszała, bo głuchła coraz bardziej. Utratą słuchu nie martwiła się zbytnio. „Bo cóżbym dopiero słyszała, gdy król i Katarzyna jeszcze żyją!“ Oboje przeżyła, w 9 krzyżyk dobrze zaszedłszy. U progu nowego stulecia umarła w Krystynopolu, bolejąc nad „utratą korony polskiej, za którą się nikt nie modli“. Do grobu odprowadził ją szary tłum szlachty krystynopolskiej, a za grób przetrwały dowcipy.

HRABIANKA LULU Z ORSZAKIEM.

Uciekło, jak widzę, słońce,
Już śródmorza mierzy końce,
Straciło lustru ozdobę,
Nosząc czarnych chmur żałobę.

Zamilkli mieszkańcy leśni, —
Nie usłyszysz ptasząt pieśni.
Cóż się dzieje? kto mi powie?
Pan Niemiec siedzi we Lwowie...

„Jesień 1773 roku".

Hrabianka Lulu Thürheim liczy wiosen dwadzieścia i słynie z urody. Nie wie co z sobą zrobić, bo jest sierotą, tedy opuszcza austrjacką ojczyznę i uszczęśliwia swą osóbką Lwów, gdzie jej szwagier Goess został w r. 1810 cesarskim gubernatorem. Kilka soczystych ustępów z panieńskiego pamiętnika hrabianki powie nam, jakie wrażenia odniosła tutaj.

24. sierpnia 1813. Z drogi do Lwowa: Wszystko, co dotąd w Polsce widziałam, przeraża mię! Te wrzaski, ten język, ta dzikość ludzi i zwierząt, nędzne chałupy, a w nich odrażający ludzie przejmują mnie wstrętem!...

28. września 1813. Nareszcie jesteśmy we Lwowie. Wjeżdżałam do miasta z pewnem biciem serca. Nie czuję się tu bynajmniej dobrze; wszystko wydaje mi się obce i zimne. Również siostra moja (pani gubernatorowa) mało ma sympatji dla tego kraju i łączy nas jedno wspólne życzenie: uciekać stąd!

8. października. Wczoraj byłam na balu i widziałam cały lwowski „wielki świat“: brzydkie i podstarzałe panie, ubrane z afektacją, jak przekupki, nieciekawi panowie lub niedojrzałe młokosy. Nie wiem,

gdzie są ci mężczyzni, którzy się tak bardzo siostrze podobali?

Polacy wydają się hrabiance Lulu także i dlatego nieznośni, gdyż kochają Napoleona i nie cieszą się z wyników bitwy pod Lipskiem.

25. października. Zły humor Polaków, którzy z niepowodzeniem Napoleona pogrzebali swoje nadzieje, ich obłudna radość dla ukrycia swej wściekłości — wszystko to było strumieniem zimnej wody, wylanej na mój patrjotyczny entuzjazm.

2. listopada. Wspaniała bitwa pod Lipskiem przeszła nasze oczekiwania. Blücher i Schwarzenberg pobili Napoleona na głowę. Lipsk jest nasz! Król saski z rodziną w niewoli, niezliczona ilość dział zdobyta. Jakże bardzo chciałabym być teraz w Wiedniu razem z moimi rodakami! A tymczasem tu ci obmierzli ludzie psują mi całą uciechę widokiem swych nędznych słodko kwaśnych gęb!

Pomimo wszystko hr. Lulu upiększa, jak umie nudę pobytu *in der abscheulichen Provinzstadt Lemberg.*

2. listopada. Zbliża się dzień urodzin mego szwagra hr. Goessa. Hrabina Mier, która go bardzo lubi i uwielbia, chce dać na cześć solenizanta wystawne *soirée.* Podałam myśl, aby urządzić żywe obrazy, których szwagier jeszcze nie widział. Projekt przyjęto z entuzjazmem i urządziliśmy dziewięć obrazów rozmaitych szkół malarskich. W jednym występowała moja siostra w postaci klęczącej nad kołyską

syna, a dwa anioły osłaniały ją skrzydłami. Ja wyobrażałam żonę Rembrandta i Madonnę Rafaela. Ostatniego kostjumu nie można było nazwać zbyt skromnym, otrzymałam więc huczne oklaski, oraz wiele komplementów, z których najbardziej podobał mi się słaby zresztą wiersz francuski ks. Ludwika Jabłonowskiego. Młody ten książę, w owym czasie mistrz *à la mode* wytwornej koterji wiedeńskiej, należał do bywalców salonu gubernatora. Wkrótce potem zachorował, a moja siostra spędzała wraz ze mną wiele wieczorów przy jego szeslongu. Mówiło się zupełnie otwarcie i bez zastrzeżeń o sukcesach sprzymierzonych, gdyż ks. Jabłonowski był zdecydowanym Austrjakiem. Przyjemny, wielkoduszny i elegancki w wyrażeniach podobał mi się bardzo. W krótkim czasie byłam z nim na najlepszej stopie, a wieczory, z nim przepędzone, stanowiły jedyną rozrywkę w nudnem i nieciekawem życiu towarzyskiem Lwowa. ...Pozatem tak mało tu ludzi, z którymi tu wogóle można rozmawiać!...

W styczniu 1814. Przybyła do Lwowa Karolina, królowa Neapolu, uchodząc przed tyranją Anglików. Była zmuszona do odbycia drogi do Wiednia przez Konstantynopol, Morze Czarne, Odessę i Lwów. Przyjazd królowej wprawił nas w niemałe zakłopotanie; ja jednak cieszyłam się w oczekiwaniu balów, koncertów, teatrów i iluminacyj na jej cześć. Szwagier mój dał dwa wytworne bale, gdzie raczej ja królowałam, niż Jej Królewska Wysokość. Miałam piękne toalety, najlepszych tancerzy, słowem opływałam we wszystko, czego potrzeba kobiecie do zabawy! — Królowa usiłowała rozmawiać z paniami lwowskiemi

w sposób przyjazny, ale to były krople rosy na gorący kamień, bo większość pań, po małomiasteczkowemu zakłopotanych, odpowiadała jedynie głębokiemi ukłonami. Przeważnie nie wiedziały nic o pochodzeniu i przejściach królowej. Jedna np. witała w niej z zapałem potomkinię rodu — Hohenstaufów.

Na uroczystości owe przybyło z okolic Lwowa wiele szlachty i magnatów, którzy tylko w szczególnych razach zjeżdżają do stolicy. Tak poznałam wielu arystokratów galicyjskich, jak np. Stadnickiego, Cetnera, Pawła Sapiehę, Konarskiego i w. i.

Na wiosnę r. 1814. Państwo Mniszchowie, wielcy przyjaciele mej siostry, wysilali się, aby ją rozerwać po stracie dziecka, i zaprosili do Krysowic najprzyjemniejszą młodzież ze Lwowa. Powietrze i zapachy wiosny, lasy i strumyki cieszyły mię bardzo. Już dawno nie czułam się tak dobrze! Moje serce bawiło na wakacjach... Wkrótce opuściliśmy Krysowice, aby zamieszkać w milutkiem ustroniu letniem na Cetnerówce, kwadrans drogi od Lwowa. Od świtu biegałam po łąkach i polach, wśród kwiatów. Wraz z Krasińskim i Stadnickim robiliśmy tysiące głupstw, strzelając z łuku i bawiąc się jak dzieci. Ale to wszystko mało mię obchodziło wobec rozpoczętych już przygotowań do powrotu do Austrji. Nie zostawiałam tu we Lwowie nikogo i nie miałam czego żałować. Niestety deszcze i rozmokłe drogi odroczyły termin naszego wyjazdu, tak jak przedtem opóźniły nasz przyjazd do Lwowa. Niech djabli porwą kraj, do którego ani przyjechać, ani zeń wyjechać! Nareszcie 10. czerwca wypogodziło się. Po kilku konwencjonalnych frazesach, powiedzianych na pożegnanie na-

szym lwowskim przyjaciołom, opuściłam Lwów i Cetnerówkę, nie spojrzawszy nawet ni razu poza siebie. Czułam się niewypowiedzianie szczęśliwa...

* * *

Oto wrażenia hrabianki Lulu z jej krótkiego pobytu we Lwowie. Dlaczego poświęciliśmy im tyle uwagi i co kogo obchodzić mogą rozdąsane grymasy kuzynki gubernatora, zawody miłosne i zabawy z nadskakującym uniżenie *hig' lif'em* lwowskim, a wreszcie kąśliwe opinje jakiejś tam niezadowolonej grafini z nad Dunaju?

Rzecz w tem, że hr. Lulu nie przyjechała do Lwowa sama, jeno ze świtą, bardzo, a bardzo liczną, jeno w licznym orszaku przyjaciół, którzy przed nią i po niej Lwów sobą uszczęśliwiali. Rycerze grafini Lulu już od r. 1772 najeżdżać poczęli Lwów i Galicję, aby dyktować podbitemu krajowi swą wolę przez wiek cały prawie. A ponieważ nie wszyscy byli tak bardzo błękitni i nietylko karocami przyjeżdżali, lecz i pieszo szli, przeto ludziom małych wymagań działo się we Lwowie przednio.

Urządzili sobie poprostu nad Pełtwią swoje własne niemieckie miasto. Prusak w Poznaniu nie czuł się tak swojsko, ani Bajkow w Wilnie, jak Austrjacy w stolicy Galicji i Lodomerji. Przywieźli ze sobą na furgonach wszystko: stolarzy i profesorów uniwersytetu, policjantów i malarzy minjatur, poetów, opiewających *Lemberg's Umgebungen*, tancerki baletowe i filuterne przeorysze klasztorów. Pomalowali po wierzchu brudne miasto tombakowym szychem wiedeńskim, zakładali teatry i szkoły tańców, pisma literackie i plantacje na wałach. Słowem: powstał *Alt-Lemberg*, dziś jeszcze

z czułością w historji kultury niemieckiej wspominany. Celnik i trafikant austrjacki, muzykant wojskowy z drelicharzem wzięli się rączo do pracy, aby stworzyć na Rusi Czerwonej *tiers état*, którego Polska nie znała: beamterję. I wkrótce rojny mikrokozm biurokracji rozbiegł się ze zwinnością karaluchów po kraju, zaludnionym nagle nową narodowością: Galicjanów. I nie sposób odmówić racji podróżnikowi, który pisał w r. 1790: „Wygnajcie dziś wszystkich Niemców z Galicji, a jutro nie będziecie tam mieli ani artysty, ani rzemieślnika!“

Wobec typów i figur, które od zaboru aż do połowy XIX w. rządzą w gubernjum, cyrkułach, sądach i starostwach, bledną zupełnie późniejsi bohaterzy z „prywislinskiego kraju“. W porównaniu z nimi Nowosilców zdaje się tylko niezręcznym rubachą, i blednie bestjalstwo Murawiewa. Wysłańcy Kaunitza i Metternicha są niebezpieczniejsi; zawsze uśmiechnięci, nie podnoszą nigdy głosu i nie zdejmują rękawiczek. Choć i sobowtórów nie braknie. Wysuszony kościotrup Krieg będzie mimo kiepskiej francuzczyzny z powodzeniem udawał W. Ks. Konstantego, opilec Wittman, feldwebel z rangą radcy apelacji, sięgnie po laury Bajkowa, a Hammerstein w r. 1848 prześcignie Paskiewicza! Jak złośliwy skorpjon potrafi policjant cesarza epileptyka wgryźć się w życie polskie Lwowa. Ścierpi miasto starostów, zachęcających chłopów podlwowskich w r. 1846 do urządzenia rzezi na wzór Tarnowa, wytrzyma rządy jednookiego szefa policji Sacher-Masocha, świetnej figury z romansów kryminalnych, które syn jego pisać będzie, przetrwa krętactwa Stadjona i całego pokolenia Pergenów, Goessów, Gaissrucków, Millbacherów, Wencliczków i Precliczków.

Lecz czasem wśród zgrai żandarmskiej przydarzy się człowiek przedziwny, zawstydzający, idealista, który więcej pomoże jak zaszkodzi polskości Lwowa, na której zagładę przysłano go przecież. Wiecie np. ile winna jest historja Lwowa panu profesorowi Maussowi z nad Renu, któremu Józef II kazał w odnowionej przez siebie wszechnicy Kazimierzowej wykładać historję powszechną? Ten Niemiec, słowa po polsku nie umiejący, zaliczony być winien do najbardziej zasłużonych pedagogów polskich w pierwszej połowie XIX stulecia. Wychował przecież całe jedno pokolenie Lwowa i uczył go polskości. U Maussa składali kollokwja Pol i Szajnocha, w r. 1830 on pędził uczniów z sal wykładowych, aby szli do powstania. On z Ossolińskim starał się o katedrę literatury polskiej dla wszechnicy, słowem był tem, czem jeszcze wtedy wielu innych Polaków być we Lwowie nie mogło lub nie śmiało. Inny znowu gość zgoła romantyczny to poeta Wacław Hahn, który porwie się w r. 1812 daremnie, aby rozbudzić we Lwowie twórczość literacką (choć w całej Polsce wówczas drzemała), albo taki dziwaczny major austrjacki herr Kühnl, co przez życie całe będzie skupywał we Włoszech obrazy sławnych mistrzów, aby je złożyć w darze Ossolineum!

Lecz zbyt drogo opłacić musieliśmy przyjemność poznania panów Maussa, Hahna i Kühnla, — albowiem reszta rycerzy z orszaku hr. Lulu pracowała najgorliwiej pod zgoła innemi auspicjami. Albowiem przykazał im surowo Najj. Pan, iżby z kraju niesfornego uczynili lojalną i patrjotyczną prowincję św. imperjum habsburskiego.

Jakąż odpowiedź dał Lwów nieproszonym przybyszom i jak podejmował bezceremonjalnych gości?

Dobroduszny brat szlachcic z Rusi Czerwonej nie wiedział zrazu, co się święci i czem to grozi. Ale zwolna nawet wesołki na kontraktach lwowskich dostrzegać zaczęli, że tu ktoś za nich, mosterdzieju, rządzić zaczyna królewskiem miastem, że im ojcowiznę na jakąś „Galicję i Lodomerję" przezwano i że owe głodne obdartusy, co psami do Polski na odkarmienie przyjechali — zanadto łba zadzierają! Tedy na znak niezadowolenia począł szlagon poczciwy psie figle płatać psubratom (za przykładem pani Kossakowskiej), nie bacząc, że tymczasem karmazyni galicyjscy pokłony biją na salonach gubernatora, jeżdżąc po balach i przyjęciach oficjalnych. Starych ludzi z dawnych czasów stać było tylko na igraszki, więc pan Bobrowski zamykał do chlewa ufryzowanych komisarzy z goździkami we włosach; pan Gozdzki w gubernjum wyrzucał za drzwi krajshauptmanów z przeproszeniem osoby obecnego przy tem Pergena; 15-letnia Puzynianka podarła w kawałki austrjackiego orła; a płochy wyrostek Aleksander Fredro z okna chwytał na wędką peruki z głów niemieckich. Nie umiano jeszcze w inny sposób popsuć zabawy okupantom i raz tylko w ciągu lat trzydziestu przyjechali do Lwowa w r. 1809 ułani ks. Józefa, przywożąc miastu pozdrowienie z Polski. Pokolenie Lwowian, które miało zaborcy ostre zęby pokazać i zedrzeć niemieckie wywieszki z bram miasta, dorastało dopiero, ucząc się w szkołach lwowskich niemieckiego alfabetu.

Powoli przecież znajdywały się dotkliwe sposoby na Niemców. A jeden — szczególnie doskonały, choć złośliwy i makjawelski — był taki: obdzierało się Niemiaszka z pludrów, wytrąciwszy wpierw fajkę z gęby, potem ubrało w czamarę, dodawszy mu polską towarzyszkę życia dla pewności. A wtedy często dokony-

wał się cud niemal na oczach: złoczynny Rakus lub Pepiczek ani się spodziewał, jak został zasłużonym i czcigodnym obywatelem Rzeczypospolitej, jak okrzyknięto go ojcem najlepszych synów polskiej Ojczyzny. Zobaczymy na przykładach: Starostą austrjackim w zajętym świeżo Lublinie jest herr Vincenz Pohl. Spokojnemu człowiekowi zabieramy, nie czekając jego zgody, syna i czynimy zeń najbardziej polskiego z liryków polskich w XIX wieku. To dziecko niemieckie tak sobie upodoba umierająca Rzeczpospolita, iż jemu właśnie szepnie ostatnie słowa pożegnania: Wincenty Pol syn starosty napisze „Pieśni Janusza". Nie byłże to cud, sprawiony przez ową plenną i rodną władzę cywilizacji polskiej? Cud nie jedyny, bo cóż innego przydarzy się w Siemianówce pod Samborem? Vencel Shejnoha Vtelensky nazywał się *k. k. mandatar* z Czech, na zagładę Polaków przysłany, i to wychował nam jedynaka, wielkiego artystę-dziejopisa, Karola Szajnochę, który pierwszy uczyć będzie Polaków jak mają pisać swą historję! Wielu innych przybyszów utraci w Galicji swe dzieci, aż przykro wspomnieć. Cóż winien był np. pruski magazynier solny w Kałuszu, żeby mu dziecko rodzone zmieniać w wielkiego męża stanu i statystę Smolkę, lub czy dlatego przyjeżdżał aż z nad Renu respicjent straży skarbowej w Narolu, aby tu dać życie najweselszemu humoryście, polskiemu Dickensowi — Janowi Lamowi?

Dziwne to było wszystko do tego stopnia, że nawet cesarz austrjacki Franciszek I raczył dać wyraz zdumieniu swemu w r. 1831 i powiedział: „Że Polacy galicyjscy idą do powstania, to mię nie dziwi, — byli oni oddawna *tolle Köpfe*. Ale nie mogę pojąć, czego tam szukają synowie moich urzędników. Wszakże u Pana Boga

za piecem nie będzie im lepiej, jak u mnie?!“ A cóż dopiero działo się w patrjotycznej duszy radcy gubernjalnego Reitenheima we Lwowie, który po wybuchu powstania w Kongresówce obmyślił projekt nałożenia surowych kar więziennych na rodziców, których dzieci zbiegły za granicę. Pan radca — jak świadczy Leon Sapieha w swych pamiętnikach — przyszedł rano do gubernjum, by przedłożyć swój projekt i dowiedział się z raportu policyjnego, że jego rodzony syn przystał również do powstańców i zbiegł do Królestwa (by zostać później na emigracji gorącym patrjotą i przyjacielem Słowackiego). Skonfundowani dygnitarze zebrali się na naradę nad brzydkim wypadkiem i cóż spostrzegli? Postępek Reitenheima nie został odosobniony. Synalkowie wielu zgromadzonych zdążyli już pójść za jego przykładem. Uciekł z domu jedynak okrutnego Wittmana, poszli synowie Van Roy'a, konsyljarza rządowego Webera, sędziego apelacji, oficera Rosenberga, starosty Ostermana, dalej rozmaite Titzen'y, Grossy, Krausowie i cała falanga innych. *Der tolle polnische Adler* pomieszał biedakom zmysły...

Nemezys dziejów sprawiła, że w kryminałach, które policyści austrjaccy pobudowali dla polskich buntowników, odsiadywały często karę ich własne dzieci. Takim więźniem był Henryk Szmitt, historyk i nieustraszony rewolucjonista, takim kryminalistą był dziennikarz Karol Widman. I wiele innych nazwisk szanownych wywodziło się w prostej linji ze świata urzędniczego: Emigrant i literat Ludwik Nabielak był synem śląskiego oficjalisty; malarz Kornel Szlegel — dzieckiem komisarza w cyrkule stanisławowskim; czerwony trybun Lwowa Otto Hausner — synem kupca z Hamburga. Zazwyczaj już w drugiem pokoleniu przestawali istnieć Niemcy ga-

licyjscy, zasilając posłusznie i użyźniając najmłodszą warstwę miasta: średniej inteligencji. Ten sam odwieczny proces, który odbywał się za czasów renesansu w Krakowie, potroszę za króla Stasia w Warszawie, proces cywilizacyjnej asymilacji, z takiem przerażeniem podpatrzonej później przez Bismarka — dokonał się równie zwycięsko w pierwszej połowie XIX stulecia we Lwowie. Gdyby po kilku lat dziesiątkach znowu Lwów odwiedziła — nie poznałaby hr. Lulu wielu członków swej świty i załamała ręce na widok, jakie dzieci wyrosły z wiernych cesarzowi urzędników!...

ŻYWOT I SPRAWY JANA NEPOMUCYNA.

Silniej niż dusza rozmawia się z ciałem,
Rozmawia scena ze sercem narodu!...

J. N. Kamiński.

Jakim cudem ośmioletni chłopak zdołał się o zmroku wydrapać na strop klasztoru franciszkańskiego i utrzymać się tamże przez cały prawie czas przedstawienia aktorów niemieckich, którzy sobie w klasztorze teatr urządzili — tego nikt pojąć nie mógł, a i nie dziwiono się figlowi, bo ten dziki syn ekonoma z Kutkorza do wszelakiej rebelji był zdolen. Niedawno mu *herr normallehrer* obił, co się wlazło, prawą rękę za nieumianą lekcję niemiecką, a potem rękę lewą, za to, że spuchniętą prawicą krzywo pisze der-die-dasy; wtedy zgniewany chłopak uciekł piechotą do Kutkorza, zagrzebał się w lamusie (tym razem ze strachu przed ojcowskim nahajem) i wertował z nudów stare książki, które zwożono do lamusa ze skasowanych bibljotek klasztornych. Teraz siedzi na stropie, gapi się jak machają rękoma aktorowie i jak się szminką za kulisami kolorują, gapi się uważnie, bo sam też dramat układa.

Jest to okropna, dreszczem przejmująca tragedja w 1 akcie „Jankle i Joryko“, która nazajutrz w przerwie pomiędzy *sprachlehre* a *lateinlesen* odegraną będzie. A snać dobrze z wysokości podpatrzył chłopak sekrety szwabskich histrjonów, bo tragedja podobała się powszechnie i wzbudziła zachwyt całej klasy tak dalece, iż ją powtórzyć miano nawet w obecności profesorów. Przedstawienie szło doskonale, gdy się jednak

dowiedzieli, że ku końcowi sztuki ma wylecieć w powietrze twierdza, t. j. piec szkolny z patronem prochowym — nie dozwolili dokończyć widowiska z wielkim żalem aktorów i autora. Takie było pierwsze niepowodzenie teatralne Jana Nepomucyna Kamińskiego.

Lata chłopięce tego człowieka zbiegły wśród marzeń o dwu rzeczach, których osiągnięcie wydawało mu się szczęściem najwyższem: najpierw chciał dostać do rąk chociażby na chwilę gramatykę języka polskiego, aby sprawdzić, czy te prawidła mowy ojczystej, które sobie sam ułożył, są trafne i czy może jest ich jeszcze więcej? I druga myśl spać chłopcu nie dawała: chciał chociażby raz zobaczyć polskiego aktora na scenie takiego, jacy są pono w Warszawie. Twardą miał wolę ten syn ekonoma i zawsze cele osiągał, tedy udało mu się zdobyć jakąś gramatykę polską, dla Niemców w Lipsku wydaną, a najbliższej zimy łzy zachwytu marzły na pucołowatej gębie gimnazjasty, gdy na kontrakty lwowskie zajechała wędrowna trupa Każyńskiego. Grano sztukę najprześliczniejszą na świecie: „Taczka occiarza, czyli Aurora, dziecko piekła“. Krew waliła chłopcu młotem do głowy, kiedy słuchał. Uczył się na pamięć gestów i pompatycznych słów, zapisywał ukradkiem przedziwne wyrażenia, nigdy przedtem nie słyszane. Dniem i nocą czytał Szyllera, wędrując po czarownym świecie ideałów wielkiego poety, który uczył go śmiało iść przez życie. To też, kiedy na następne kontrakty zjechał do Lwowa obdarty teatrzyk Morawskiego bez chleba i repertuaru, Jan Nepomucyn zaniósł im jakąś przez siebie przełożoną „dramę“ i kraśniał z zachwytu, usłyszawszy aktorów, mówiących ze sceny — jego słowami!

Gdy wkrótce potem zjechał do Lwowa Bogusławski i mocą swego entuzjazmu tworzył we Lwowie teatr,

aktorów i publiczność, poznał, że nie jest już w Polsce sam jeden: obaczył drugiego, równie płomiennego entuzjastę, komparsa przyszłego i sobowtóra niedoli. Przez cztery lata *stagione* Bogusławskiego we Lwowie jest mu ten student filozofji nieodstępnym towarzyszem i prawą ręką. („Ułatwiał przeszkody, obznajamiał z miejscowemi okolicznościami, a wszystko to czynił z przyjemnością"). I przez te cztery lata uczył się teatru. Jako autor debiutował u Bogusławskiego przeróbką sceniczną: „Drzewo Diany" z muzyką Elsnera (a jakże!) i już wtedy miał przed sobą cel wytknięty:

Skróconą władzę wrócić Melpomenie,
Odkląć ruch czasu i miejsce na scenie.
Tym się ognisto rozkołysał celem;
W tej sprawie Szekspir był mu przyjacielem.

A gdy miną piękne dni Aranjuezu, w których Imci Bogusławski Lwów w Warszawę przemienia, Jan Nepomucyn ułatwi mu ucieczkę przed wierzycielami i zostanie we Lwowie sam z głową, pełną planów gorejących. Chce grać i teatr swój własny zdobyć, chce pisać dla sceny, chce teatrami zasiać całą Ruś Czerwoną, aby obudzić jej drzemiącą polskość i ocalić z potopu zalewającej ją niemczyzny! *Vivos, voco mortuos plango, fulgura frango!* Szyller jest mu sztandarem i katechizmem. Arcymistrz liryki niemieckiej rozpala w piersiach ekonomczuka pożary, bunty i żądze. Poezja Szyllerowska rwie Jana Nepomucyna do czynu w tej samej chwili, w której Johann Wolfgang Goethe pisze uczoną rozprawę na temat, jak Polskę skutecznie wynarodowić zapomocą wędrownych teatrów niemieckich!...

Ale nakazy życia mówią co innego i musi rebeljant grzecznie uszy położyć po sobie. Nie wie, coby zrobił, gdyby miał pieniądze. Może kończyłby studja,

a może teatr założył. Tymczasem zbiera niedobitki trupy Bogusławskiego i korzysta raz na tydzień z gościnności Imci pana Wronowskiego, który ma pod cytadelą pałac, pełen książek, rzeźb i wykopalisk, oraz salę stosowną na widowiska. Grają tam z wielkim zapałem i z zapałem korzystają z gościnnej kuchni mecenasa. Atoli pan gubernator zakazał dalszej zabawy, bo owe wieczory psowały pono kasę publicznemu teatrowi niemieckiemu. Kamiński tłumaczy dalej Szyllera i czeka cierpliwie czasów lepszych.

A skoro nowe stulecie nadeszło, nie uczyniwszy żadnej odmiany w stosunkach, Jan Nepomucyn rusza w świat, na Wołyń i Podole. „Aktorowie sceny polskiej we Lwowie pod dyrekcją Imci Pana J. N. Kamińskiego“, wziąwszy z sobą wszystkie dekoracje, garderobę, chór, personal techniczny i rekwizytorja, zmieścili wszystko bez trudu na jednej, z trudem ugodzonej bryce, i pojechali. Na pierwszy ogień spróbowano nieśmiało występów w Dubnie. Udały się dzięki sukursowi ks. Lubomirskiego. Potem grali w Krzemieńcu i Żytomierzu, a wreszcie zebrali trochę grosza i oklasków na kontraktach kijowskich. Zaczem przyjął gości z otwartemi rękoma król Ladawy, sławetny w całej Polsce oryginał, *dux et redux* na Minkowcach — Ścibor Marchocki. Przyjął, ugościł i do rzędu nadwornych aktorów swego majestatu najłaskawiej podniósł. Dzieje się aktorom Jana Nepomucyna bardzo dobrze w tych zwarjowanych Minkowcach, w których dziewki stajenne modlić się muszą do Cerery. Jeść mają dosyć, jeno sztuk zabrakło, bo *dux et redux* codzień nowości żąda. Tedy mu Jan Nepomucyn w godzin kilka na kolanie tłumaczy „Hamleta“. Zachwycony Marchocki rozkazuje natychmiast anno Domini 1805 w swej nadwornej drukarni wsiowej

wydrukować pierwszego polskiego Hamleta. Podłemu tłumaczeniu sekundują fornalskie czcionki i straszliwe błędy druku, ale powstaje ten jedyny w swoim rodzaju, brudny, cudaczny, szary i bibulasty, ale najmilszy i najrzadszy z wszystkich Hamletów polskich — minkowiecki.

Upojony sukcesami, jedzie dalej w świat Kamiński skrzypiącą kwadrygą wygnanej ze Lwowa Melpomeny. Siedzi naiwna na furze z dekoracjami, pilnuje kufrów z garderobą pierwszy tragik Imci Kamińskiego. Śmiech pusty bierze ludzi na wieść, gdzie te biedactwa jadą. Nad Morze Czarne jedziemy, do Odessy. Był w tej Odessie, w której chyba dotąd noga aktora polskiego nie postała, gubernatorem przyszły minister Ludwika XVIII mądry diuk de Richelieu. Tenci uradował się wielce przyjazdem Jana Nepomucyna, otworzył mu serce, dał protekcję i prosił, by dłużej pozostali. Trzy lata żył sobie Jan Nepomucyn nad morzem, u diuka de Richelieu. Pokazywał „Hamleta“, „Króla Leara“, „Aurorę czyli dziecko piekła“, „Edwarda w Szkocji“ i „Krakowiaków“ Bogusławskiego. Ucieszone aktory jadły i grały, co im się zamarzyło. „Wszystkie loże i krzesła były za staraniem diuka rozebrane przez domy zamożne i corocznie opłacane“. I nigdy później nie było mu tak dobrze w życiu, jak za beztroskich odeskich czasów. Chadzał sobie w sławie wielkiej nad brzegami Morza Czarnego, otrzymał „5000 rubli miednych w podarek za staranność“ i — czekał tylko pierwszej sposobności, by do Lwowa wrócić!

Nadeszła wkrótce. W kwietniu r. 1809 Napoleon wypowiedział wojnę Austrji; 27. maja t. r. ułani Starzyńskiego zajęli Lwów. Rozentuzjazmowane miasto odrazu śle prośby do Bogusławskiego, aby wracał

co rychlej i teatr otwierał, bo już niema Austrjaków. Ale nim Bogusławski do Lublina dotarł, już Jan Nepomucyn na pierwszym ułańskim furgonie wjeżdża w rogatki odzyskanego dla Polski miasta. Musiał wczesnym rankiem przyjechać i chyba na furgonie próbę czytaną urządził, bo już wieczór grali! Pierwszego dnia po zdobyciu Lwowa dano „Pospolite ruszenie" Dmuszewskiego. Widownia mokra od łez, ściany się trzęsą wśród okrzyków, ręce spuchnięte klaskaniem. Bóg jest z Napoleonem, Napoleon z nami! Nazajutrz paroksyzm wesołości. Kamiński wystawia „Krakowiaków" Bogusławskiego z kupletami na cześć Polski, Napoleona, ks. Józefa („Już hufce Austrji zniszczone zostały i nad czarnemi wzniósł się orzeł biały!") Będzie się zato miał z pyszna, gdy trafikanci wrócą. Po tygodniu upojenia przyszła okupacja rosyjska. Już łagodził Kamiński wielkie *tableau* na dzień narodzin Napoleona: „Świątynia wdzięczności" przy odgłosie trąb i kotłów, gdy nagle wypadło wraz z całą świątynią umykać aż do Żółkwi, a potem znowu cichcem wracać do... austrjackiego Lwowa. Choćby nawet Turcy przyszli, on wróci do Lwowa i będzie grał!

Policja austrjacka każe natychmiast wyjeżdżać wielbicielowi Napoleona. „Gdziem się tylko — tak będzie później wspominał — w tym względzie pod protekcję chciał schronić, wszędzie, jak od zapowietrzonego, uciekano ode mnie, ani chcąc słyszeć o scenie polskiej. Szukałem sam w sobie pomocy. Szczęściem mojem, żem... miał pieniądze. Wysłałem swoim kosztem Henryka Bullę, antreprenera teatru niemieckiego, do Wiednia szukać opieki dla sceny polskiej, dowodząc, że teatr polski jest zasiłkiem dla sceny niemieckiej, a sam zeznawałem pod śledztwem policji... Bulla we Wiedniu

tyle wyrobił, że cesarz Franciszek własnoręcznie to zdanie napisał: *Ich bin nicht der Meinung die polnische Sprache und das polnische Theater aus Galizien zu verdrängen*. Nic to nie pomogło! Bullemu kazano wyjechać z Wiednia, a mnie przyszedł nowy rozkaz — wyjechać z kraju".

Ani myślał, tylko pobiegł na audjencję do nowego gubernatora, który zwał się Goess i był przedmiotem brzydkich rymów w piosence ulicy Lwowa. Nie dopuszczono go na audjencję, zaczem Jan Nepomucyn tak długo czatował, aż owego Goessa przychwycił na przechadzce za miastem i pozwolenie na grę uzyskał. Tymczasem resztę odeskich oszczędności zabrała mu „kasacja bankocetli" i dawnym obyczajem pozostał Jan Nepomucyn bez cwancygiera w kalecie. Ale to głupstwo wobec tego, że wydarł Niemcom dwa dni w tygodniu. Wolno Janowi Nepomucynowi dać ośm spektakli w miesiącu, co poniedziałku i co piątku, a trzecią część brutta winien wręczyć przedsiębiorcy niemieckiemu. Tłucze jakoś biedę, wzdychając do odeskich wywczasów, gra bez przerwy i to w czasie, gdy wokół śpi cały Lwów i Galicja, w której zdławiono dawne życie duchowe, a nie pozwolono na nowe.

Niema w tym czasie szkół polskich we Lwowie, ani pisma, niema życia polskiego, a jeno krząta się sam jeden zapobiegliwy syn ekonoma z Kutkorza, woła głośno ze sceny acz do pustych często krzeseł i lóż. I wie, dlaczego to czyni. Jest jakoby owym rycerzem z bajki, co przez głogi ciernięste jechał do zaklętego zamku budzić śpiącą księżniczkę, jest spełnieniem swojej własnej tęsknoty:

> Scena zabawą czczą nie jest dla gminu
> Ani jest wiechą podłego rzemiosła:

Ona ze skały skry bije do czynu,
Maską gmin wabi, aby go podniosła!

Największa trudność z rządem, który tylko patrzy, jak pozbyć się uprzykrzonego schauspielera. Jan Nepocyn ma na nich swój mocny sposób, mocno skomplikowany i żmudny, ale przecież dający rezultaty. W oczach rządu austrjackiego jest Kamiński naprzemian rebeljantem, którego trzeba coprędzej posłać w kamasze, to znowu lojalnym i nienajgorszym jeszcze Galicjaninem. Ale zatruwają mu życie ciągle. Nie wolno ze sceny mówić „ojczyzna“, tylko „siwizna“, nie wolno używać słowa „nawiasem“, wogóle właściwie niczego nie wolno, a czasami cenzor Pauman obsadza galerję policjantami — klakierami, aby oklaskiwali sztuki, miłe rządowi. Kiedy Franciszek I zjedzie w r. 1817 do Lwowa, Kamiński, zatknąwszy suplikę za biały gors fraka, pójdzie na audjencję.

Was will der Kerl? Teatru? Wobec uchwał kongresu wiedeńskiego wypada coś zrobić dla Galicji, więc Franciszek I przyzna mu aż 1000 fl. gratyfikacji, da obietnicę poparcia i chwilę rozmowy, po której magnatom galicyjskim życzliwiej patrzeć wypada na ekonomczuka, skoro z nim Najj. Pan najłaskawiej rozmawiać raczył. Gdy znowu później nici rwać się poczną, a do Lwowa zjedzie w r. 1823 wszechmocny Metternich, Kamiński napisze na cześć jego obłudny wierszyk (...płonę, gdy pomyślę, jakiemi sposoby musiałem ratować się z biedy“). Kiedyindziej, nie mogąc sprzedać lóż abonamentowych, poprosi pan dyrektor gubernatora Hauera, aby wpłynął na szlachtę, i ta c. k. interwencja odniesie naturalnie skutek; a jak się świetnie oszukuje kiedyindziej cenzorów i policję!

Ale ba! nie wystarczy, że Austrjacy pozwalają grać, trzeba mieć, kim grać i dla kogo grać. Pozwolenie jest, a publiczności niema. Gorsza sprawa z apatją społeczeństwa, jak z psikusami Austrjaków. Nie potrzebują teatru polskiego, wystarczą im linoskoczki w ogrodzie Hechta. Tedy Jan Nepomucyn zaczyna drugą swą pracę, stokroć żmudniejszą od deptania po przedpokojach gubernatorów. Uczy ludzi chodzić do teatru. Trwa ta nauka przez długie lata (1809—1815), prowadzona resztą rubli miednych diuka de Richelieu, resztką wymierających aktorów i resztką starego repertuaru. Już wtedy widzi entuzjasta, że swoim Szyllerem ukochanym nie daleko zajedzie i że w opinji paradyzu „Bianka della porta“, którą zagrał w r. 1812, jest nierównie śliczniejsza od przemądrych tyrad królewicza Hamleta, a nad Moljera i Racina podoba się więcej Kotzebue i pani Weissenthurmowa.

Aktorów udało mu się pozyskać świetnych. Wśród lwowskich uczniaków gimnazjalnych wynalazł w r. 1811 dwie przyszłe chluby swej sceny: tragika Smochowskiego i Nowakowskiego, (arcy-aktor fredrowski!), z Krakowa przyjechał Benza, więc nawet w Weimarze nie wahałby się zagrać Jan Nepomucyn. Dyrektor Kamiński ma doskonałą garderobę i dekoracje, wystawia przepysznie sztuki kostjumowe; natomiast orkiestra jest podła, bo nie stać teatru na opłacenie tak królewskiego dyrygenta, jak skrzypek Lipiński, który gra naprzeciwko w teatrze niemieckim.

O repertuar nigdy nie boli głowa pana dyrektora. Życiaby nie starczyło, gdyby chciał wystawić to wszystko, co mu się marzy z dramaturgji świata. Ale to nie popłaca. Świetna publiczność nowości żąda. Nic łatwiejszego. Jan Nepomucyn sam owe nowości fabrykuje

w ciągu kilku rannych godzin. Bierze się w tym celu pierwszą lepszą niemiecką, włoską czy francuską krotochwilę albo komedjooperę, przeinacza „Alpenköniga“ na „Gwiazdonia, króla Tatrów“, z „Aliny, królowej Golkondy“ robi „Lwowiankę, królowę Golkondy“, dodaje sakramentalne, zawsze konieczne „czyli“ i powstają rzeczy, które już z afisza wołają o oklaski: Bo jakże nie pójść na „Jaskinię zbójców w ciasnej ulicy czyli wiele hałasu o nic“, jak nie płakać razem z „Gustawem wychowańcem lasów“ i nie śmiać się z losów „Rodziny Puciakiewiczów czyli matki i córki“. Jeśli potrzeba, to codzień nową sztukę przykroi pan dyrektor, a rękopis idzie zaraz na teatr z dopiskiem, jakiego chyba nigdy nie uczynił żaden autor w świecie dramatycznym: „Ponieważ to dziełko prawie w kilku godzinach przełożone, więc uprasza się p. p. aktorów uważać pilnie, aby błędy, w prędkości tłumaczowi z pod pióra wypadłe, na scenie się nie odezwały“. Blisko trzysta rozmaitych dram, krotochwil i komedjooper przetłumaczył i wystawił na scenie Jan Nepomucyn Kamiński!...

Zamknij oczy, o boska Melpomeno, i sądź pobłażliwie sługę swego Jana Nepomucyna!... Bo wszakże w tej pośpiesznej, mechanicznej produkcji raz tylko, ale świetnie objawił się w Kamińskim twórca sceniczny. Napisał najlepszą *pièce du thèatre*, jaką w pierwszej połowie XIX stulecia zna literatura polska, napisał sztukę narodową, do dziś żywą i barwną, uzupełnienie Bogusławskiego, nierównie lepsze od pierwowzoru „Cud czyli Krakowiacy i Górale“. Zaiste cudowne jest matuzalowe życie tej serdecznej sztuki. Od stu lat nie schodzi z repertuaru bez oklasków. Napisał jeszcze Jan Nepomucyn dwa słabsze, mało oryginalne wodewile („Twardowski na Krzemionkach“, „Skalmierzanki“). Na dalszą

twórczość sceniczną nie miał czasu: Bo i grać musiał także. Byłby aktorem znakomitym, lecz mu głosu nie dostaje. Powiada, że z frasunku ochrypł. Ale miał czasy swoich wielkich triumfów, jako Karol XII pod Benderem, jako organista w „Krakowiakach“, jako ojciec w „Ludgardzie“, i „Emilji Galotti“, jako Harpagon w „Skąpcu“, jako wesoły kuplecista w komedjo-operach; — słowem, grał wedle recepty Polonjusza w rolach tragiczno-charakterystyczno-komicznych, albowiem twarda okoliczność na co innego nie pozwoliła. Szczególnie upodobał sobie Jan Nepomucyn recytację ballad i poematów Szyllerowskich, przez się tłumaczonych, które oryginalnie inscenizował. Pan dyrektor, we frak przyodziany, stawał przed rampą, deklamując z patosem n. p. „Pieśń o dzwonie“, a na scenie „z deklamacją połączone było naoczne przedstawienie lania dzwonu“. Czasem znowu romantyk poda rękę przedsiębiorcy i ułożą wspólnie spektakl rozczulający, jak owo widowisko w dniu 9. czerwca 1816 z programem następującym: 1. Wielka symfonja, bitwę wyrażająca. 2. Deklamacja „Rękojmji“ i „Nurka“, poematów Szyllera. 3. Tableau: „Apollo i Muzy na górze Parnasu, otoczeni najznakomitszymi rymotwórcami“. 4. „Indyk, nadziany dukatami“, komedjo-opera...

Zamknij oczy o boska Melpomeno i sądź pobłażliwie sługę swojego Jana Nepomucyna a także przebacz aktorom, synom twoim najlepszym, bo ich zadania podobnie skomplikowane. Wielki tragik Benza umiera w poniedziałki wspaniale w szatach „Króla Lira“, by w piątek śpiewać kuplety w „Syrenie Dniestru“, za monolog Hamleta zbiera oklaski lóż, a za „Doktora Pampuszka z pięciu zalotnikami“ wieńczy go galerja. Jest naprzemian Zygmuntem Augustem w „Barbarze“

i studentem w „Krakowiakach“, gdy znowu żona pana dyrektora ma w dwu kostjumach największe powodzenie: w robronach lady Makbet i w gorseciku Basi z „Krakowiaków“.

Takaż to służba dla Muz ojczystych, takaż „rozmowa sceny z duszą narodu“, takie ogniste cele Szekspirowskie, o Janie Nepomucynie, który sam mówiłeś, iż posłan jesteś, aby skry zapału ze skał krzesać?! Na interpelacje odpowiada pan dyrektor westchnieniem. To jest cena, za którą jedynie można teatr we Lwowie utrzymać. Piszą przecież recenzenci: „Bądź pewnym, że na sztukach Kornela, Woltera, Szyllera zliczysz widzów na palcach, lecz kiedy ogromny afisz ogłosi „Syrenę Dniestru“, siedź w domu, bo cię w teatrze uduszą“. (Pamiętnik lwowski 1818). Tylko czasami z wielkim cwancygierów uszczerbkiem uda się przemycić inne, nierównie mniej ciekawe sztuki. Ukradkiem jeno sprezentuje Kamiński Lwowu naprzemian z wodewilami całego niemal Szyllera, od „Wallensteina“ do „Zbójców“ i „Don Carlosa“, wystawi Makbeta“, „Króla Lira“, „Dziewicę orleańską“ i „Wilhelma Tella“, porwie się na „Korjolona“, sięgnie do Moljera, Racina, Alfierego, odkryje na długo przed Słowackim — Kalderona dla teatru i poezji. I polscy klasycy ożyją wśród łojówek teatru Kamińskiego: będzie „Barbara“ i „Ludgarda“, będzie Wężyk i Niemcewicz. Warszawscy przyjaciele pana dyrektora: Imci Żółkowski, pamiętny swych lat młodych we Lwowie, i niestrudzony Ludwik Dmuszewski przyślą mu czasem jakie resztki z wielkiego stołu Warszawy; tłumaczenia Racine’a przywozi mu ze wsi Kopystyński, który da raz Benzie 500 fl., a dyrektorowi nieraz korzec kartofli. Tylko Ludwik Kropiński w Woronczynie sierdzi się mocno, że na jego „Ludgardę“ Lwów

nie bardzo łaskaw. Wszystkie te autory ojczyste mają dla Jana Nepomucyna wiele słów wdzięczności.

Ale najbardziej wdzięczna jest mu historja kultury polskiej za ów wieczór w dniu 10. marca 1817, w którym na deskach teatru zabrał po raz pierwszy głos arcymistrz komedji polskiej. Nie sądźcie wszelako, że to była bardzo wielka i wspaniała uroczystość; — bynajmniej. Jakoś z początkiem roku 1816 ktoś ze znajomych przyniósł dyrektorowi niewielką komedję młodego początkującego autora, hreczkosieja pono, który niedawno szlify Napoleońskie zrzucił. Kamiński rękopis przejrzał z niedowierzaniem, — bo gdzież hreczkosiejom i to nadpełtwiańskim do komedjopisarstwa? Ale, o dziwo, „plan utworu wydał się dyrektorowi logicznie przeprowadzony", więc trochę tylko poprawił naiwności młodzieńczych i oddał rękopis do cenzury. W cenzurze trzymano drobiazg blisko rok do dnia 17 czerwca 1816, poczem w marcu 1817, gdy przeznaczony na premjerę „Edward w Szkocji" Kotzebuego wydał się na wieczór nieco za krótki, dodano mu ową „Intrygę na prędce", pierwszy utwór sceniczny Aleksandra hr. Fredry.

„Nikt o komedji nie wspominał", powie później Fredro z goryczą, ale pamiętać będzie zawsze Janowi Nepomucynowi tę pierwszą zachętę i cenić w nim „jedynego znawcę i doświadczonego praktyka". Następnych prymicyj nie chciał drażliwy twórca „Zemsty" odbywać we Lwowie i dopiero w r. 1824 wziął szturmem teatr lwowski „Geldhabem" i „Cudzoziemczyzną". Ale to pewna, że z tych desek i z tych aktorów i Kamińskiego wyrósł cały Fredro. „Komedje Aleksandra Fredry — stwierdza jego szwagier — były pisane dla tych aktorów; oni je sami w myśli autora poczęli, oni zarysy działających osób nakreślili, oni dali mu swoje pojęcia

o sztuce i znajomość tajemnic sceny. On w odwet dał ciało ich myślom, w lepszego towarzystwa odział go szaty i ożywił go swym dowcipem, a to podwójne życie, spłynąwszy się w jedną całość, utworzyło piękne dzieło sztuki. We wszystkich jego komedjach główne role to nie żadne urojone osobistości, ale Benza, Nowakowski, Kamińska, dla własnej rozrywki, w dobrym humorze osnutą intrygę przeprowadzający podług natchnienia“.

Wprowadzenie Fredry na scenę i Korzeniowskiego (który w r. 1830 wystawił u Kamińskiego „Dymitra i Marję“) było najwalniejszą, ale nie jedyną zasługą Jana Nepomucyna.

Czy uwierzycie, że ten wiecznie skłopotany dyrektor teatru był w r. 1822 jednym z najpierwszych kandydatów na katedrę historji literatury polskiej we Lwowie? Gdy ją nareszcie powołano do życia, Kamiński stanął w rzędzie ubiegających się. Colloquium habilitacyjne wygłosił z takim ogniem, iż przeraził strupieszałych ordinariusów niemieckich. Uznali, że ma kwalifikacje bodaj czy nie najpoważniejsze i kazali mu wybierać: teatr albo katedra! Jan Nepomucyn nie namyślał się ani chwili. Wtedy padł wyrok: „aktor profesorem być nie może“. Ale inaczej sądzili najpierwsi ludzie w Polsce. Mickiewicz składa mu słowa uznania w osobnym liście, Mochnacki unosi się nad wspaniałością przekładu Kalderona. Bo przecież umiał znaleźć czas Jan Nepomucyn na pracę literacką. Stanął na gruncie lwowskim jako pierwszy przodownik romantyzmu, zasłynął doskonałemi przekładami Szyllera, które od r. 1820 drukiem ogłaszał. Romantycy warszawscy uznali w Kamińskim kresowego wodza nowej poezji, dziękując mu, że uczy młodych poetów lwowskich romantycznego rymu

i rytmu. Ale raz się uśmieją serdecznie z pana dyrektora w 1827, gdy wyda osławione sonety dla pognębienia Mickiewiczowskich i będzie w nich „duszą wypijał duszę kałamarza!" Potem rzucił poezję Jan Nepomucyn i wziął się do filozofji języka, by „wniknąć w duszę mowy polskiej, tak jak Linde wniknął w jej ciało", ale narazie wszystkiego poniechał dla teatru!

Stanęła w tym czasie scena lwowska jako najpierwsza w Polsce. Naprzekór wszystkiemu i wszystkim cudów dokazywał Jan Nepomucyn ze swą trupą, z 17 osób złożoną i przy 20 łojówkach grającą. Przez wiele lat i gubernatorów, od kongresu wiedeńskiego aż po noc listopadową, walił po grzbiecie kościstą szkapinę Melpomeny lwowskiej. A umiał dzierżyć w dłoniach biczysko ten syn ekonoma! Maniak w nim siedział uparty i rogata dusza entuzjasty! Wydeptywał subwencje w c. k. ślamazarnych stanach galicyjskich, zastawiał łyżki ostatnie i ślubną obrączkę, potrafił sprzedać słownik Lindego za parę cwancygierów, by chwycić za połę zmykającego do Warszawy aktora (gdzie jest mniej potrzebny, skoro mają polską szkołę i rząd). A tymczasem powoli Lwów nauczył się kochać Jana Nepomucyna, który mu układał co najskoczniejsze melodyjki, śpiewki i polonezy, wędrujące ze sceny w tłum. Śpiewano we Lwowie przez pół wieku:

„Gdzież się podział ów wiek złoty,
Kiedy kontusz na wyloty
I czamara z pętlicami
Brała górę nad modami?"

Z kupletami wnikał w glebę lwowską zbożny siew Kamińskiego. „Kto nie widział — opowiada świadek współczesny — tej komedji w lwowskim brudnym, ciasnym teatrzyku, na scenie, dwudziestoma dymiącemi łojówkami oświetlonej, przez którą się do niektórych lóż wchodziło schodkami drabiniastemi w razie spóźnienia, już po podniesieniu zasłony, ten jej nie zrozumie. Gdy Nowakowski na „Krakowskiem weselu“ jako organista wołał: „Miło tupnąć o tę ziemię, wszakże to jest ziemia nasza“, tysiąc rąk konwulsyjnie, czem mogło, łomotało, tysiąc piersi dyszało w gorączce, tysiąc dusz tę ziemię brało w posiadanie“. Za kulisami siedział wtedy cudów owych sprawca i męczennik i pisał — nowy, jeden z tysiąca błagalnych memorjałów: „Bogu tylko wiadomo, jak ja tych lat siedmnaście przeżyłem... Była to podróż woźnicy z ciężarem przez błoto i przekopy... Chwila pogody, a tygodnie słoty... Będąc prywatną, bez wszelkiego znaczenia osobą, nie mogę przed nikogo krzywdę sceny zanieść. Muszę z bólem serca patrzeć, jak lada złość, lada intryga pomiata instytutem, noszącym nazwę narodową“.

A w końcu wyczerpały się sposoby, środki i pomysły. Po czterdziestu latach mitręgi zdarła się na strzępy energja Jana Nepomucyna. Popadał stary człowiek w szpony lichwiarzy, nie mógł opędzić się żądaniom aktorów, nie miał czem płacić haraczu, należnego teatrowi niemieckiemu. Subwencję mu dały stany galicyjskie, ale za późno. W r. 1830 oddał Kamiński teatr towarzystwu akcyjnemu wraz z garderobą, dekoracjami i bibljoteką w zamian za zapłacenie wszystkich długów jego imprezy. Wobec rychłego rozbicia się wiotkiej kombinacji, przeszła scena pod zarząd spółki artystów. Niewdzięczne aktory, nie pamiętając że ich na ludzi

wyprowadził, trują na wyścigi życie staremu już dyrektorowi. Zdawało się, że nigdy nie wygaśnie w nim żarliwa miłość sceny, a przecież! Wspominał z żalem dobre odeskie czasy, „spokojne od natarczywości zgłodniałych a krzykliwych aktorów“ — i obojętniał coraz bardziej, choć jeszcze zostawiono mu do roku 1843 nominalne kierownictwo. Zobojętniawszy, poszedł ze zwieszoną głową do redakcji rządowej „Gazety lwowskiej“ pracować na kawałek chleba. Wytrwał tam ten niewyczerpany w energji człowiek przez lat 19-ście, które mu zbiegły na wycinaniu i tłumaczeniu posłusznych cenzurze artykułów. Do przyjaciela na wieś pisał wtedy w zgryźliwym wierszyku:

Pytasz mię listem, jak mi się powodzi?
Że żyję, mówisz, nie daję i znaku.
Wszakże masz tartak; jeśli cię obchodzi
Los mego życia, ujrzysz w twym tartaku!

Byłem ja dębem, zmieniono mię w kłodę,
Z pnia swego ściętą; zmarła we mnie siła.
Puść-że na koło teraz z stawu wodę:
Widzisz jak w kłodę ostro idzie piła!...

W dniu 18 marca 1843 powinien był cały Lwów zapłakać głośno na ostatniem przedstawieniu w starym teatrze (bo nowy zbudował już Skarbek) — ale łzy nikt nie uronił, albowiem wyszły już z pamięci prace i trudy zgrzybiałego Jana Nepomucyna. Tenci zaś przywdział po raz ostatni frak spracowany na chude barki, wystąpił raz jeszcze przed rampą i tak mówić zaczął: „Gdy ta zasłona spadnie, pójdę jak ów jesienny, od gałązki oderwany listek, jak ów w toń rzucony kamyk, w zapomnienie. Gorący piersią, nie-

strudzony myślą, chodziłem około tej roli, kiedy jeszcze głucho zarastała, o którą wtedy nikt się nie troszczył, gdym ją ciężko zaorywał i w znoju zasiewał. Teraz, gdy w piękny kłos iść zaczyna... niech nie domówię...“

I poszedł na emeryturę. Miał lat sześćdziesiąt sześć, ale jeszcze wiele zapału w swej rogatej duszy, więc zużył go w całości na jakieś dziwne studja nad filozoficznością języka. Z podobieństwa przypadkowego wyrazów wysnuwał najdziwniejsze prawa i reguły, wiodące jakoby do wnętrza narodowej filozofji. Tą modną ongi zabawką zachwycali się romantycy, ale w puch rozbiła całą pracę Kamińskiego nowożytna lingwistyka porównawcza. Zostało mu do końca to namiętne umiłowanie języka z czasów, kiedy marzył o zdobyciu polskiej gramatyki. Był pewny, że temi poszukiwaniami zdobywa sobie nieśmiertelność. I długo jeszcze borykał się z życiem. Przyszło tymczasem do głosu nowe, trzecie już z rzędu pokolenie, a jego najświetniejszy reprezentant poeta Mieczysław Romanowski tak pisał w dniu 15 stycznia 1855 do swej siostry: „Staruszek Kamiński skonał wczoraj na moich rękach, nie było bowiem przy nim w ostatniej chwili nikogo, tylko ja i moi koledzy. Bolesny był to widok patrzeć się na tę zmianę myśli własnej, która dawno znikła i niby mieszkańce opuściła budowlę, a to, co gasło, było tylko zwaliskiem. Mieć tylko trochę słabsze nerwy a umieć myśleć przytem, to można zupełnie zniechęcić się do pracy“.

Tak poszedł na odpoczywanie spracowany syn ekonomski, który scenę lwowską cudem istnym przez dziesiątki lat utrzymywał, dobiwszy z dumą trzechtysięcznego przedstawienia. Wiele talentów przyniósł

z sobą na świat, ale najlepiej umiał „rozmawiać na scenie z duszą narodu". Wiedział dobrze, gdzie tej duszy we Lwowie szukać; przeto żyje do dziś w teatrze polskim zuchowata śpiewka i kolorowy pląs „Krakowiaków!"

O GALILEUSZACH
I O AUSTRJACKIEM GADANIU.

Gdy Ludwik Jabłonowski, czerwony szlagon z Lubienia, odwiedził w r. 1829 w Dreźnie Mickiewicza i z ową szczególną, kresowcom właściwą admiracją stawał przed osobą wieszcza — zraził się odrazu i rozżalił pytaniem, jakie mu twórca „Dziadów“ rzucił od niechcenia: — „No, cóż tam u was słychać w Galilei?“ Snać już wtedy weszło w modę baraszkowanie na temat galilejskiej krainy. Stary i chytry pomysł wiedeńskiego hofrata, aby stworzyć osobną narodowość galicyjską i odgrodzić ją murem od reszty Polski — urzeczywistnił się potrosze. W pierwszej połowie XIX stulecia mieszkaniec Galicji był prawie zamorskiem dziwem dla Warszawy i Poznania. Wyśmiewano się z jego akcentu i wyobrażeń, wytykano wiedeńską elegancję, i słusznie, albowiem kawaler galicyjski z lat 1820-tych odznaczał się niepokalanemi „vatermörderami“ i miał nierównie więcej sznytu od romantycznie nieczesanych fircyków warszawskich. „W mantelzakach moich towarzyszy broni z Galicji — pisze pogardliwie w r. 1831 Goszczyński — znajdowałem na linji bojowej gorsety męskie i żelazka do włosów, z którem to uzbrojeniem wielu Galicjanów występowało do walki z Moskalami“.

Pozatem Galileusz jest — w opinji reszty Polski — godnym lekceważenia już choćby dlatego, że płaci 16 razy więcej podatków od rodaków z za kordonu. Jest to nędzarz, obłupiony doszczętnie przez austrjackiego cesarza. Nie wolno mu niczego wytwarzać, a jeśli sobie utka płócienko na koszulę, musi je wpierw posłać do Wiednia do ostemplowania. Zresztą w Galicji (rok 1823) tanio. Funt mięsa z powodu zakazów wywozu kosztuje we Lwowie 3 krajcary, ale mało kto ma owe krajcary przy duszy. Warszawiacy częściej bywają w Neapolu i Londynie niż w Galicji. Kordon austrjacki, rozszerzony później na „Nową Galicję", obejmującą sandomierskie, lubelskie i kieleckie, stał się od roku 1772 istotną, niemal nieprzebytą granicą, za którą wzrastało społeczeństwo w zgoła innych od reszty Polski warunkach, nieobecne w Rzeczypospolitej przez całe dwa ostatnie dziesiątki lat jej egzystencji. Zdala od Sejmu Wielkiego i Ustawy Majowej, poza nawiasem Kościuszkowskiej insurekcji, o której jeno głuche krążyły wieści. Gdy odrodzona Rzeczpospolita użyła chociaż przez chwil kilka pełni państwowego życia, Galileuszów germanizował nagwałt Józef II.; w czasie piętnastu lat kwitnącego bytu Kongresówki Galicjanie siedzieli w Metternichowskim kryminale lub też drzemali ogłupieni i skrępowani furorem centralizmu, lub wreszcie próbowali zbawiać Polskę konspiracją.

W odosobnieniu i braku stałej łączności z życiem Polski rzeczywistej — wytworzyła się wówczas, w zaraniu XIX stulecia, w duszy Galicjan fikcja Polski idealnej, zakordonowej, fantastycznej. Napoleon miał ich z tą Polską połączyć, obiecał przez usta księcia Józefa w r. 1809, ale nie dotrzymał. Minęły bujne lata wojen napoleońskich, zgasły miraże Księstwa Warszawskiego,

rozbudowało się gdzieś tam za Wisłą państwo kongresowe — Galicjanin przeżywał to wszystko w marzeniach. Resztę dopowiedziały mu później „Księgi pielgrzymstwa“, przemycane w beczkach z wina drogą na... Budapeszt, lub „Kordjan“, pilnie przepisywany przez panienki w krynolinach, lub list Klaudyny Potockiej, sympatycznym atramentem pisany, nareszcie manifest Mickiewicza „Do przyjaciół galicyjskich“, zalecający, by „główne działanie swoje zamknęli obywatele Galicji wewnątrz kraju“.

Przeciętny Galilejczyk był w Warszawie dwa razy w życiu. Atoli oba razy bez paszportu. Pierwszy raz: 29 listopada 1830, drugi raz: 22 stycznia 1863. Jedną ósmą część żołnierzy w armji listopadowej stanowili ochotnicy galicyjscy, najlepiej uzbrojonego „miatieżnika“ dawał w r. 1863 zabór austrjacki. W czasach spokojnych Galicjanie nie kwapią się do Królestwa. Nie lubią białego cara. To jest przecież rzecz najznamienniejsza, że Artur Grottger nigdy w życiu nie był w Warszawie! A jednak on właśnie, on jeden tylko widział najbystrzej, co działo się na placu saskim w r. 1861! I naodwrót: Królewiacy nie znali Galicji. Ledwie jednostki odważyły się na podróż do Krynicy. Podróżują tylko zdecydowani na szafot emisarjusze.

Przez nieledwie pół wieku XIX Galicjanie żyją sami, nosząc swą Polskę w sercach egzaltowanych, mając ją żywą chyba tylko w „nocnych rodaków rozmowach“, chyba w pieśni, którą śpiewa się z płaczem: „Uderzcie bębny, zagrajcie nam rogi, za Bug, za Bug!“ A ośmioletni Kornelek Ujejski gdzieś na Podolu, nad brzegiem Dniestru, rozważa, czy można, falami rzeki płynąc, dotrzeć wkońcu do — Warszawy?

Jest smutno i ciemno w tym kraju, któremu narzucono niemiecką beamterję i szkołę. Dwie trzecie Galicji drzemie w apatji, tępej beztrosce, w bolesnem nieuctwie. Nie myślą i nie czytają, a mówią straszliwie, kalecząc germanizmami. Dwie trzecie drzemie — zato reszta — czuwa za wszystkich! I dzielnie współpracuje przy budowie gmachu cywilizacji polskiej! I umie błysnąć światłem poprzez wszystkie kordony. I coraz posyła Polsce mocarzy.

Bo kogo?

Galileuszem najoczywistszym, bo szlagonem z pod Komarna, jest arcymistrz komedji Fredro, Galileuszem jest płomienny chorąży r. 30-tego — Mochnacki, wychowany w Żółkwi. Ba, nawet owego wierszyka o kotku, co „był chory i leżał w łóżeczku“ — nauczył Polskę Stanisław Jachowicz, wychowanek zniemczonej wszechnicy lwowskiej. Lwowianinem jest Kamiński, twórca „Krakowiaków i górali“, z Galilei wiodą ród generałowie Skrzynecki i Rybiński, we Lwowie uczy się najgłośniejszy z muzyków przedszopenowskich — Kurpiński, we Lwowie dostaje pierwsze stałe „engagement“ heroina obu półkul Modrzejewska! Lwów posyła Polsce największych poetów poromantycznej epoki: Ujejskiego i Romanowskiego, rozbudza talent w Wincentym Polu, Lwów drukuje pierwsze utwory kaliszanina Asnyka i wydaje najświetniejszego z satyryków — Lama!

* * *

Dziwnych ludzi wydaje owa tylekroć ośmieszana Galicja w pierwszej połowie XIX stulecia. Ludzi krańcowych, białych i czerwonych. Biała, a raczej szara

większość pozostaje jeszcze daleko poza granicami uświadomienia narodowego, skutecznie demoralizowana i straszona przez okupantów, czerwone jednostki strzelają wysoko nad tłum. Bije w nich, rzekłbyś, „cor ardens“ pokolenia i rozrasta się kultura narodowa epoki. We wszystkich dziedzinach. Ileż to razy ów mizerny teatr lwowski, podtrzymywany centowemi kombinacjami Kamińskiego, wydziera się, mimo najopłakańsze warunki, na czoło scen polskich! Teatr, w którym już w wieku 18-ym grano pierwszego w Polsce „Hamleta“, który potem wystawia na długo przed Warszawą „Cyda“ i „Fedrę“, a wreszcie pierwszy poznaje się na talencie dramatycznym Korzeniowskiego. Tenże Korzeniowski pisze w r. 1840 zachwycony z Warszawy: „Lwowski teatr — jedyny, gdzie jeszcze polski pisarz dramatyczny znajdzie przytułek. Warszawa nie dla nas. Bez was byłbym połową tego, czem jestem“... Albo malarstwo lwowskie przebujne i najpierwsze, o którem osobno powiemy.

Przeciętny lwowianin owych czasów, umiejący napamięć „Hrabiego Monte-Christo“ czy „Żyda wiecznego tułącza“, nie słyszał o istnieniu Kraszewskiego, nie czytał książek polskich, pomimo że wychodzą we Lwowie: pierwsza porządna antologja poezji romantycznej („Polihymnia“ Szczepańskiego), pierwsze najobszerniejsze zbiory pieśni ludowych (Wacław z Oleska, Żegota Pauli) a wreszcie monumentalny słownik Lindego w drugiem wydaniu.

W tem wszystkiem błyszczy temperament. Uparty, młodzieńczy, żarliwy, nawet łobuzerski. Temperament młodego Fredry, chwytającego z okna na wędkę peruki przechodzących ulicą „beamterów“, albo owego szlachciury, który w r. 1820 sprowadził umyślnie zło-

śliwe czernidło, maczał w niem wiechcie słomy i pukał do okien austrjackich, smarując potem na czarno-żółto gębę Niemca, wyglądającego z wrzaskiem: Was ist das?

Temperament studenta Smolki, biorącego w r. 1837 pierwszą nagrodę pływacką na stawie pełczyńskim.

Temperament Skarbka, pędzącego własnonożnie woły do Wiednia.

Upór Szajnochy, który zaczął od tłumaczenia niemieckich książek kucharskich, a sięgnął mistrzowstwa nowożytnej historjografji.

I cała owa zawadjackość Tygrysowa, (jak przezwano Lwów w „Tece Stańczyka"). Wszystek słomiany, gorejący frazesem ogień tromtadracji, gaszonej przez straż pożarną z pod Wawelu.

Pomimo wszystko reszta Polski mówi wówczas o Galilei z rezygnacją. I wzrusza litośnie ramionami. W Warszawie uważają ten kraj za skazany na zagładę i wynarodowienie. Patrzą tylko z uwielbieniem na uniwersyteckie Wilno Śniadeckich, Lelewelów, Mickiewiczów, patrzą z wiarą w Poznań, promieniejący (około r. 1840) ruchem umysłowym. „Przyznam ci się — wyznaje w r. 1857 Narcyza Żmichowska w liście do swej lwowskiej przyjaciółki — że dotychczas typowość galicyjska nie bardzo jasnym blaskiem ideału promieniała. Sama wiesz bezwątpienia, jakie na niej ciążą klątwy, zarzuty, anekdoty. Darowaliście mi Królestwo Galicji i Lodomerji". Nie lepiej a wzgardliwie pisze o Galicji Kraszewski i filozof Trentowski. I — mają rację! Albowiem owe przedziwne objawy żywotności, owi ludzie wyjątkowi, których wymieniliśmy — stwierdzają tylko regułę. Regułą jest marazm i apatja dwóch z rzędu pokoleń porozbiorowych, regułą jest partykularna zaściankowość, która przetrwa długie dziesiątki lat. Zaprawdę

śmieszni są owi Galileusze. Te źle ubrane hrabiny, jeżdżące czterema bułanemi ogierami, ci trefieni na wiedeński sposób głuptaskowie i karciarze, ci politycy, bijący czołem na salonach gubernatora, te Geldhaby! Bo Fredrowski Geldhab jest galileuszem. (A jaka szkoda, że zaginął wielki poemat satyryczny Fredry, „wyszydzający typy i charaktery społeczności galicyjskiej“, pt. „Każdy dudek ma swój czubek“). Zaś winne było w znacznej części wszystkiemu — austrjackie gadanie.

* * *

Galileusze byli tylko dziećmi austrjackiego gadania. Nie wiadomo dokładnie, kiedy po raz pierwszy pojawiła się owa melancholijna definicja. Być może wówczas, gdy łatwowierny król Stanisław August, wróciwszy ze zjazdu kaniowskiego, tak pisał do jednego ze swych sekretarzy:

„Mój Badeni! Już teraz możesz śmiało zabezpieczyć rodaków, ponieważ widział się ze mną cesarz Józef II i mówił więcej godziny w sposób najprzyjemniejszy, a między wielu inszemi rzeczami to mi powiedział: „Daję parol W. K. Mości, iż bynajmniej uszczerbku Polski nie chcę, że drzewa jednego (ten właśnie był wyraz jego) Polsce odebrać nie chcę i możesz W. K. Mość o tem upewnić każdego“. A gdy te słowa mówił, wziął mnie za rękę, ścisnął ją i trząsł...“

Józef II, którego gadanie było pierwszem gadaniem austrjackiem, nie dotrzymał obietnicy, danej dobremu królowi. Bo właśnie na drzewie polskiem robili Austrjacy najlepsze interesy w rewindykowanej Galicji. Ponadto umieli wywozić rocznie 30.000 złp. w srebrze

z kościołów, podatków, żup wielickich i monopolu tytoniowego. W tem jednem utarł się system, zresztą nie wiedzieli, co począć. I chcieliby, i bali się. Uśmiechało się zrazu wynagrodzenie oraz „inkorporacja“ zaniedbanej krainy, ale czy warto? Bo nuż kto im Galicję zabierze? Może Polska, jakiś czas groźna po przymierzu z Prusami, może Rosja. Albo też uda się ten wymagający dużych inwestycyj objekt wymienić za jakąś Serbję czy Lombardję. Brakowało tedy wytycznych w polityce Wiednia. Inspirował ją raz strach przed insurgentami, to znowu *szimmel*, bezmyślnie nieszkodliwy, oraz naprzemian złośliwa głupota z głupią złośliwością. Zaś strach był najmniej uzasadniony. Galicji nikt nie chciał — nawet później Mikołaj I, a już uchowaj Boże, Stanisław August, który skwapliwie złożył „per procura“ homagjum czyli przysięgę na wierność w sądzie lwowskim, albowiem i on był — galicyjskim „obszarnikiem“. Pergenowi, pierwszemu gubernatorowi, złożyła szlachta czerwonoruska 6.000 dukatów obrączkowych, iżby rządził dobrotliwie. Pacyfikacja kraju nie natrafiła na opór. Lobkowitzowi zaniesiono w r. 1831 srebrną wazę z wiernopoddańczym napisem. Chociaż nie wszyscy byli tak grzeczni. Rogata pani Kossakowska, gdy ją egzekutor podatkowy chciał licytować — wyniosła mu z furją mało używaną urnę nocną. Była również srebrna, lecz bez wiernopoddańczego adresu!

Wszelako 6.000 dukatów nie na długo pomogło. Okupant zaczął drapać Ruś Czerwoną dotkliwie i ssał jej krew z chichotem wampira. Odrutowany kordonami, nieznużenie cierpliwy Galileusz 18 wieku zaczął się sierdzić, widząc, że ten jakiś wiedeński cesarz Józef, który wcale nie jest polskim szlachcicem, włazi na jego podwórko i zaczyna pozwalać sobie na rzeczy, jakich

nie odważył się tykać król jegomość, i wiele innych edyktów, z których każdy czego innego zabraniał. Z czasem Józef II przestał zakazywać, a jął się subtelniejszych metod rządzenia, uśmiechając się na dwie strony: do chłopów i do szlachty. Chłopom ruskim zdołał rychło wpoić legendę o „cisaru", który jest wszechmocny i życzy im wszystkiego najlepszego, szlachcie sprzedawał tanio dobra koronne i tytuły hrabiowskie.

Równocześnie zmieniono dobre srebro polskich talarów na papierowe banknoty, a szkoły zniemczono od *triwiów* po wszechnicę. Na ambony wylęgło dziwo osobliwe: ces. król. księża, którzy zostali oddanymi rządowi urzędnikami i modlili się: *„Oremus pro imperatore nostro Josepho, qui fecit coelum et terram"*. Proste i jasne zamiary Józefa II spaczył nieco Leopold II, który przebąkiwał o jakiejś konstytucji (pod wpływem sejmu czteroletniego). Po nim wszelako wysoki dwór przestał interesować się Galicją, zostawiając to dyplomatom i gubernatorom. Franciszek I, przymuszony stworzeniem Królestwa Kongresowego, udawał jeszcze wielką życzliwość, ale już dobrotliwy Ferdynand, który cierpiał na epilepsję i hodował kwiaty, był święcie przekonany, że Galicja leży w Hiszpanji. Tak przynajmniej wyraził się wobec jakiejś damy ze Lwowa, gdy zdołała uzyskać audjencję.

Metoda, jaką wielkorządcy Galicji zastosowali, była czcigodnie tradycyjna: na dwoje babka wróżyła, *divide et impera*, czyli gdzie nie możesz przeskoczyć, podleź. Galileusze wiedzieli, co o tem wszystkiem myśleć, i radzi byli z całej duszy nienawidzieć okupanta, ale im ciągle ktoś w tem — przeszkadzał. I to stamtąd, z za kordonu, z głębi utęsknionej Polski. Szły coraz głosy,

przekazy nawet, by „Austrjaka menażować“. Ba, nie byle kto, sam pan Kościuszko, naczelnik narodu, przykazał spokój Galicjanom i siedzenie cicho, bo nam Rakusa sierdzić nie potrza. Nie wiedzieli, co czynić:

Tu ich krajshauptman ze skóry łupi i dopieka, tam zasię mówią o — sekundogeniturze Habsburgów na tronie polskim. Tu ich Krieg z Wittmanem w kryminały pakuje, a tam, z emigracji, piszą nakazy, by Austrji nie drażnić. Kaunitz poradził sobie łatwo z Walerjanem Dzieduszyckim, gdy ten zapraszał Austrję na tron polski w r. 1797 — wsadził go za zdradę stanu do więzienia. Trudniej poszło w r. 1831 Metternichowi, gdy doń przybyli wysłańcy rządu narodowego z Warszawy z ofiarowaniem korony polskiej arc. Karolowi Franciszkowi. Wszelako wężowy książę zdołał ich wkońcu oblać zimną wodą, odstawił pod eskortą do granicy, a w Galicji zarządził ostre represje.



Pomiędzy austrjackiem gadaniem i austrjackiemi czynami nie było właściwie sprzeczności. To nie znaczyło wcale: co innego mówi, zaś co innego robi. Albowiem słowa i czyny były jednakowo — groteskowe. Znamienne jest, że ze wszystkich zaborców ten jeden przeszedł do historji w nimbie... śmieszności. Patrząc na historję Polski w pierwszej połowie XIX wieku, (bo tylko ta nas tu interesuje) można wzdrygać się na widok brutalności rosyjskiej, piętnować dzikość Mikołajów i Paskiewiczów, barbarję Nowosilcowych, można się dziwić gadowi pruskiemu, schowanemu w glansowanej rękawiczce Antoniego Radziwiłła, ale trudno się nie na-

igrawać z tchórzliwej nieudolności regime'u galicyjskiego.

Jakto? Nieudolność. Lecz przecież była rzeź chłopska, były dwie szubienice w r. 1847, armaty Hammersteina w r. 1848, Wittman, Krieg, ćwierć inteligencji w kazamatach i Spielberg gorszy od Sybiru?! Tak, ale to wszystko razem z odległości dziejowej zda się więcej jaskrawe niż szkodliwe, to są chwilowe wysilenia się na twardość ręki, ale ani celowe, ani konsekwentne. Najlepsze pomysły represji psuje zawsze hofratowi wiedeńskiemu strach i biurokratyczne przykazanie połowiczności. Nie potrafi być nigdy Murawiewem, choć dyszy jeszcze większą nienawiścią. Posunie się nawet do zbrodni, mimo to nigdy prawie nie wie, jakich dróg użyć, by najwięcej szkody zrobić i w miejsce najsłabsze uderzyć. Moskal bije głową o mur, by zgnębić Polskę po r. 30-tym. Hofrat wiedeński gotów uczynić to samo. Lecz zamiast w mur, uderza głową — w siennik.

Jakkolwiek nie cofną się przed niczem i potrafią nawet pono otruć Wacława Zaleskiego, skazać Smolkę na śmierć, a Fredrze nią zagrozić za nazwanie cesarza djabłem w rogatym kapeluszu — to przecież nie lubią Austrjacy odkrywać kart swej polityki eksterminacyjnej. Najchętniej strzelają z za płotu. Symbolicznym jest w tej mierze rok 1863: Kapral austrjacki przepuszcza galicyjskich powstańców z hasłem „*Gut morgen*“ przez rzekę, a potem śle za nimi salwę ztyłu.

A często złośliwość straszliwie rafinowana, często szykana potwornie groźna zmienia się w okamgnieniu — w głupkowaty figiel. W r. 1796 uznano np. między innemi, że radykalnym środkiem na zgniecenie irredenty polskiej, zresztą bardzo mizernej, będzie — kastracja książek do nabożeństwa, a raczej litanji do Matki Bo-

skiej, gdzie przecież powiedziano wyraźnie: Królowo KORONY POLSKIEJ, módl się za nami! *Bücherrewisionsamt* rozkazał natychmiast, aby we wszystkich księgarniach wydarto odpowiednie stronice, a na ich miejsce wklejono nalepkę z napisem: królowo GALICJI I LODOMERJI, módl się za nami! O tej dziwnej koronacji Matki Boskiej opowiada między innymi Ambroży Grabowski w swych pamiętnikach.

Naprawdę szkoda, że nie zarejestrowano wszystkich pulsujących rzadkim humorem kawałów regime'u wiedeńskiego. (Historję porozbiorową możnaby wogóle zacząć pisać mniej płaczliwie, a więcej żywo!).

O jednym takim opowiada w liście do córki kasztelanowa Ossolińska. Było to w r. 1807. W jakiejś nieznanej bliżej szkole lwowskiej *szulrektor* był bardzo niezaradny. Biedne uczniaki, bębniąc posłusznie *der-die-dasy*, prosiły go długo, by zrobił porządek z przydziałem sal klasowych. Rektor nie umiał czy nie chciał. Zaczęli mu wymawiać, więc porwał się na nich. Snać mu chłopaki nie zostały dłużne w odpowiedzi, bo przerażony zuchwałością, szulrektor poleciał ze skargą do generała komenderującego. Był nim znany z historji Wurmser. Tenci uznał, że postępek chłopaków jest rebelją, a sytuacja groźną i zaalarmował garnizon.

Jak wojna, to wojna, powiedzieli pradziadowie dzisiejszych obrońców Lwowa i zabarykadowali się w szkole, którą tymczasem otoczył kordon wojska „*mit aufgepflantzten Bajonetten*". A szkołę otoczono armatami.

Chłopakom w to graj. Zaczęli rzucać z okien ławki, stoły, flaszki i polana. „*Sakra! ist eine regelrechte Insurrektion*" — musiał krzyknąć wtedy Wurmser, blady, a może i ucieszony, że ma wreszcie bunt we Lwowie.

I zażądał na gwałt — pomocy. Aż z Kulikowa, gdzie stał szwadron huzarów Jej ces. Mości. Oblężenie trwało dalej. Chłopaki rzucały polanami, a wojska miasta — czekały posiłków. Tymczasem trochę strzelano do okien szkolnych, ale nie bardzo, żeby nie robić hałasu i nie prowokować wojsk powstańczych, które z pewnością kryją się w podziemiach Lwowa. Gdy w nocy przyjdą posiłki, przypuści się szturm generalny.

I tak się stało. Pomoc nadeszła, Wurmser objął naczelne dowództwo, wytoczono na plac armaty, zjednoczone wojska przeszły do ataku. Po dłuższej „walce“ wywalono drzwi wchodowe i obsadzono *im Siegesrausch* zdobytą szkołę. Wszelako nie było w niej ani żywego ducha, albowiem chłopaki jeszcze poprzedniego dnia po południu, „wystrzelawszy wszystką amunicję“ — poszli ukrytą w murze furtką do domu.

Generał Wurmser zatrąbił do odwrotu. Kazał bateriom odjechać do koszar i zrobił zapewne strasznie głupią minę.

Czy ją istotnie zrobił, tego pani kasztelanowa Ossolińska nie podaje. Wszelako głupia mina była nieodłączna po każdym dokonanym czynie austrjaków. Mieli ją zawsze. I nawet w chwilach poważniejszych. Miał głupią minę Metternich po rzezi tarnowskiej i Krieg po egzekucji Wiśniowskiego, i Hammerstein po zbombardowaniu miasta.

* * *

Wśród takich praktyk atoli obumierało powoli życie miasta i coraz wysychał słabiuchny nurt jego kultury, zozstawionej mu w spuściźnie przez figurynki rokoka. U kolebki nowego Lwowa panoszyła się tępota

apatja. Nawet mówić czystą polszczyzną zapominano. Jakieś Niemcy założyły w r. 1811 „Gazetę Lwowską“, jakieś Pfaffy i Pillery próbują wydawać książki, na jarmarcznem *niveau* utrzymane. Pozatem nawet życie towarzyskie zamiera. „Nie możesz sobie nawet wyobrazić — pisze w r. 1815 młody gentleman z Kongresówki St. Chołoniewski — jak się człowiek we Lwowie nudzić musi. Nie można tu nic skorzystać ze względu na naukę. Wielu ludzi poczciwych znalazłem, ale ani jednego wykształconego. Gromada suchych figur, perorujących sofizmatami“. Tak było w owych piętnastu latach nowego stulecia, latach, tyle rodzajnych i obfitych w wydarzenia w innych ziemach Rzeczypospolitej. A później, w następnem piętnastoleciu, zaczęły drzemkę Galicji rozbudzać wysiłki jednostek na wszystkich polach pracy kulturalnej. Działał Kamiński w teatrze, Chłędowscy w literaturze, kwitnąć poczęła zbożna myśl Ossolińskiego w bibljotece i na wszechnicy. Zrazu były to wysiłki syzyfowe. Dopiero z rokiem 1830-tym wszczął się okres systematyczej i upartej walki z „kawkami“.

Galileusz chwycił Austrjaka za bary i jął ratować zasypiającą polskość swego kraju.

CZERWONI PANOWIE W CZARNYCH OKULARACH.

Znacie Morawca, starca, górala?
Znacie żebraka, kominiarczyka,
Węgra, cygana, Włocha, Moskala,
Co ledwie przyjdzie, natychmiast znika?
Co dziś jak flisak do Gdańska płynie,
Jutro jak handlarz do Węgier zmierza,
Co dziś w Stambule, jutro w Londynie,
Dziś u wieśniaka, znów u papieża,
Dziś w głębi Litwy, jutro w Poznaniu,
A wszędzie mówi o zmartwychwstaniu!

Wł. L. Anczyc, Emisarjusz

Czerwoni dlatego, bo łakną krwi ciemięzców, a czarne okulary noszą, by ich nikt nie poznał. Daremniebyś chciał ujrzeć ich prawdziwe oblicza. To ludzie o czterdziestu twarzach i tyluż imionach. Z pod ziemi wyrastają, pod ziemią giną. Przyjeżdżają do Lwowa chyłkiem, pocztą, jako t. zw. *blinde Passagiere*, pukają do dworu nocą, zawsze w chmurach tajemnicy, zawsze gotowi do czynu i śmierci; małomowni i mistyczni, nieustraszeni i dziecinni, bohaterscy i naiwni. Nie straszna im śmierć męczeńska, ni ciężkie kryminały stanu.

Chrześcijanie w Rzymie starożytnym mieli rybę jako sygnał poznawczy, oni rysują pień na piasku, albo pręt w połowie ucinają. Modlą się wspólnie tak: „Boże, dopomóż nam upokorzyć despotów i tyranów!“ A przysięgają w te słowa: „w ostateczności samobójstwo popełnić przyrzekam; tak mi dopomóż Bóg!“

Czerwoni panowie w czarnych okularach to — emisarjusze i węglarze. Każdy z nich ma do dyspozycji „zemstę ludu“ i obiecuje, że śpiący rycerze w Tatrach na pomoc przybieżą, by hen wszystkich wrogów z Polski wypędzić. Skromni jak apostołowie. Żarliwi słudzy idei, bez żadnych potrzeb i ambicyj osobistych, wiodą życie koczownicze, wędrując po wioskach i miastach, daremnie szukający, jakby — trafić do ludu. Czerwoni panowie w czarnych okularach są często bohaterscy,

ale czasem i — śmieszni. Ale nie wolno im tego brać za złe, bo są żywem wcieleniem skrajnego romantyzmu.

Jeśli zwykło się mówić o dawnych ludziach, że zeszli z portretu, to o nich rzec można, że wyszli wprost z książek romantycznych: z Jean Paula i A. E. J. Hoffmana, z powieści Walter Scotta, z oktaw Byrona. Od Walter Scotta nauczyli się tajemniczości gestów i ruchów, Jean Paul użyczył im formuł przysięgi, składanej w noc czarną, a program polityczny napisali poeci polscy. Karbonarjusze polscy są to stryjeczni bracia Kordjana, pierworodne dzieci Matki Polki, która ich przecież uczyła kryć się pod ziemią

„I być jak otchłań w myśli niedościgły,
Mową truć z cicha, jak zgniłym wyziewem,
Postać mieć skromną jako wąż wystygły".

Mierzą siły na zamiary, a siedząc w więzieniu, „samotną myślą rozwalają trony". — Albowiem pojęli ten frazes dosłownie. Wobec braku broni, trzeba, by pewnego dnia lud cały szedł z procesją i księżmi żądać wolności dla Polski! A wszyscy są ludźmi nietylko wielkiej siły ducha, ale i kultury. Władzą ich „namiot polski" w Paryżu, który słucha rozkazu „namiotu świata". Ojciec był masonem, i pożyczał godeł od murarzy, syn wybrał sobie cele bardziej krwawe, poprzysiągł światu oswobodzenie od tyranów, a nazwał rzecz całą sprzedażą węgla (wenta). Cała Europa opasana siecią spisku: młode Niemcy, młoda Italja, młoda Francja i młoda — Polska, Polska Mierosławskich i Heltmanów, Polska Zawiszów, Wiśniowskich i Zaliwskich, Polska, wołająca rytmem w wierszu: „Do autora trzech Psalmów", której zlękły się syny szlacheckie.

Terenem walki jest Galicja, a ulubioną kwaterą sztabu Lwów. Od chwili upadku powstania listopado-

wego, ciągną jak klucze żurawi emisarjusze na Ruś czerwoną, by tu przez dwa dziesiątki lat straszyć Austrjaków widmem rewolucji, agitować, siedzieć w kryminale, nawet umierać na szubienicach. Przysyła ich Wersal, ale nie ten, który dawniej kazał nosić srebrne peruki i różowe wstążki u pantofelków, inny Wersal. Przysyła ich centralizacja wersalska, która nie dała za wygranę z upadkiem Warszawy, lecz pragnie w ogniu rewolucji zbudować nową młodą i demokratyczną Polskę. Jedzie do Polski Zaliwski z partyzantami, jadą czerwoni Mierosławczycy i agenci Dwernickiego i biali wysłannicy księcia Adama. Wadzą się i przekonują, nawet strzelają wzajemnie. I tak przez lat prawie dwadzieścia, opasują najwięcej Galicję, mniej Księstwo, a najmniej Kongresówkę pracowitą i zabiegliwą siecią spisków, went, sekcyj i tajnych związków. Na różne sposoby obiecują zbawić Polskę. Jedni mówią, że będzie Polska federacyjna z ustrojem republikańskim i autonomją dzielnic, drudzy mówią, że będzie zjednoczona pod władzą prezydenta. „Chcemy, ażeby nie sześćdziesiąt tysięcy szlachty, ale dwadzieścia kilka miljonów ludu dobijało się z bronią w ręku wolności, obywatelstwa i własności gruntowej". Wystarczy hasło, a tak się stanie...

Ale pst! narazie nie mówcie o tem nikomu, chyba osobie, która wpierw założy obie ręce na piersi, potem prawą przytknie do prawego oka cztery razy i wyrzeknie słowo: *amitié*, usłyszy odpowiedź *fraternité*, a oboje razem wyrzekniecie *bienfaisance*. Tylko tym sposobem można poznać wtajemniczonego. Co roku niemal program ulega zmianie i co roku przesuwa się termin wybuchu. Przez lat wiele konspirując, ludzie ci tak się przyzwyczaili do swego tajemniczego rzemiosła, do bezimienności, jawnie działać nie umieli, że gdy ogarnie

Europę płomień rewolucji w r. 1848, patrzeć będą nieufnie i sceptycznie. A jeden z nich (Fr. Wiesiołowski) napisze otwarcie w pamiętnikach: „W ruchach r. 1848 nie brałem prawie żadnego udziału. Rewolucja taka, legalna, oparta na adresach, protestacjach, deputacjach i swarach dziennikarskich, nie przemawiała do mego przekonania".

Liberum conspiro miało zbawić Polskę, a Lwów stał się Mekką spiskowców, czekających hasła. Rozbudowało się nad Pełtwią i wzrosło w ciągu tych lat dwudziestu (od upadku powstania listopadowego po wiosnę ludów) drugie miasto, ukryte przed wścibskiem okiem policjanta: Lwów podziemny, romantyczny, spiskowy. W lasku Węgleńskiego, na Pohulance, czy tam gdzie kręcone słupy i Żelazna woda, wszędzie wre i kipi nocami. Obradują jakieś walne sejmy i zgromadzenia narodowe, rady wojenne i konstytuanty, tych nieustraszonych i niezłomnych, żółtodziobych chociaż siwowłosych dzieci romantyzmu. Dzięki systemowi tajnych piątek i dziesiątek nie znają się wzajem, nawet nie wiedzą o sobie owe szumne „Sarmacje", „Zemsty ludu", „Stowarzyszenia przyjaciół Polski", rozdzielone na poręby i sekcje, na cyrkuły, województwa i okręgi. Więc myśli z dumą każdy student i każde uczniowskie sprzysiężenie, że jest tylko cząstką i małem ogniwkiem wszechogromnej armji powstańczej, która, tylko co patrzeć, zawezwie zaborców do krwawego porachunku. Zaś jest w istocie tak, że całym fundamentem działania owej armji stała się pogłoska, że ktoś gdzieś obiecał przysłać broń, a całym planem operacji wiara, gdzieś komuś tajemniczo przez kogoś tajemniczego na Wałach Hetmańskich wszczepiona, że n. p. w dniu 19 marca 1883 „lud całej Polski i Rosji" jak jeden mąż powstanie!...

A przecież najtęższi ludzie młodego pokolenia garną się do roboty spiskowej. Bo duszno jest w powietrzu, bo nie wie krewkość młodzieńcza, co z sobą zrobić. A młodzi są wszyscy ludzie tego czasu. Ten dziwny zakon węglarzy nie pyta o metrykę lub, uchowaj Boże, o klejnot herbowy, często nawet na narodowość nie zważa. Uczestniczą w organizacjach galicyjskich ziemianie i karmazyny o najpierwszych nazwiskach, są klerycy ruscy obok piwowarów, subjekci, literaci, księża i oficerowie austrjaccy (tych ostatnich poznasz po nieznacznie zmienionym emblemacie cesarskim na kaszkiecie: zamiast cyfry Ferdynanda I-go noszą samo F = *Freiheit* (wolność). Wolność czyja? Rozumie się: wszystkich uciśnionych narodów, warstw i stanów społecznych. Wolność wszystkich ludzi na ziemi. Lecz przedtem śmierć tyranom!

Przewodzi spiskom młody i zapalny element miejski, świeżo Polsce przywrócony, choć także zdemoralizowana i zgięta wpół przed gubernatorem szlachta galicyjska garnie się zwolna do myśli spiskowej, naogół niezbyt jej chętna, bo przecież mówi się o uwłaszczeniu włościan. Ale który przystał do nowej idei, to całą duszą. Jeździ wówczas wozem drabiniastym, a chłopa sadza na kanapie w salonie, aby równość *ad oculos* zaznaczyć. Brat szlachcic konspiruje na dawny, barski sposób. Szeroko a z fantazją, tak że często sekret staje się tajemnicą publiczną. „Niektóry, przewiesiwszy wil„czurę przez plecy, z czapką futrzaną nabakier, idzie „ulicą, aż ziemia pod nim się trzęsie. Spotyka Niemca, „wytnie go po ramieniu: — A co tam? Spakowałeś „już swoje manatki? — Niemiec zbladł. — Pakujże „prędko, bo tu niebawem szubienice zaskrzypią“.

Ale naogół tajemnica jest podstawą spisku. Czerwoni panowie w czarnych okularach, zbierający się latem w podlwowskim jarze, a zimą na poddaszach ustronnych, nie znają nawet często swych nazwisk i dopiero później odkrywa je historja zdumiona!... Bo kogoż nie spotkać w przebraniu spiskowca i jakie dziwne zbiegowisko nazwisk niespodziewanych! Oto porucznik Ordon z Mickiewiczowskiej „Reduty“ przyjechał w tajnej misji do Lwowa w szatach handlarza, albo Lucjan Siemieński, ten dzielny później fejletonista „Czasu“, konspiruje w przebraniu kobiety. Przyszły książę kościoła, kardynał Dunajewski, teraz chłopaczek, na śmierć skazany za konspirację, albo przyszły prezes Koła Polskiego w Wiedniu Grocholski albo przyszły prezydent austrjackiego parlamentu Smolka. Ten ostatni zawsze trzeźwy, mądry, daleko patrzący. Wstępując do spisku, rzuci przedtem posadę rządową, aby nie popaść w kolizję z sumieniem.

Widmo szafotu stoi za każdym, lecz dosięgnie tylko jednego z nich, T. Wiśniowskiego, którego wszyscy znają z czynów, a dopiero po śmierci poznają z imienia. A iluż czerwonych hrabiów, którzy chcą pokutować za grzechy praojców! Oto Wincenty Tyszkiewicz i Leon Rzewuski, obaj czerwoni zagorzalcy, godni powieści, dalej Jabłonowscy, Koziebrodzcy i ci dwaj bracia Woronieccy, skazani na 12-cie lat Szpilbergu. Albo gołębia postać Marcina Zamoyskiego z Derewlan, który, gdy go z polecenia wielkorządcy gal. arc. Ferdynanda ujęli żandarmi, rzekł z humorem:

— „Brał kiedyś Zamoyski arcyksięcia pod Byczyną, bierze teraz arcyksiążę Zamoyskiego. Lecz... *variabilis fortuna!*“

To galicyjscy karbonarjusze. A przyjezdnych z całej Polski iluż! Oto mierny, niezasłużenie tak głośny Zaliwski lub mętnogłowy doktryner Heltman, oto nareszcie przesuwający się przez Lwów jak cień w r. 1835 biały Anhelli węglarstwa polskiego i serafriczny męczennik konspiracji — Szymon Konarski.

Atoli wpośród nich wszystkim pierwszeństwo rozdmuchania we Lwowie zarzewia myśli spiskowej wziął sobie barczysty romantyk Seweryn Goszczyński, gdy pewnej nocy jesiennej r. 1832 przekradł się przez rogatkę Stryjską i ukrył na poddaszu przy ulicy Halickiej. Przywiózł plan oraz paryskie instrukcje wcale nie naiwne, owszem wtedy jeszcze możliwe do zrealizowania. Z pokaźnych resztek tułających się po Galicji pułków listopadowych miano utworzyć wielki korpus armji powstańczej. W lakonicznym dzienniku poety z owych lat czytamy:

„Rok 1832... Nocuję we Lwowie przy rogatkach... August Bielowski podzielił się ze mną mieszkaniem i — nazwiskiem, dając miano brata swego, który zginął w powstaniu“.

„...Poznałem Wincentego Pola i Ludwika Jabłonowskiego... Z Olizarowskim kilka razy byłem ale mu się nie odkryłem... Zaczęła się robota!,..“

Te słowa ostatnie brzmią tak uroczyście i modlitewnie, jak kiedy mnich średniowieczny, żegnając się, pisał w żywotach świętych: *incipit miraculum*, lub gdy boski Dante rozpoczynał strofę: Życie się nowe zaczyna... Było ich razem dwudziestu jeden, to znaczy bardzo wiele jak na stosunki i cyfry spiskowe, z Goszczyńskim, Polem, Bielowskim i Józefem Tetmajerem na czele. Płoną żądzą wzniecenia ruchawki, choćby natychmiastowej,

chcą zaraz rozbrojenia Austrjaków, chociażby w jednych koszarach, choćby samoczwart! Złożyli przysięgę na pałasz z zawiązanemi oczyma: złożył barczysty i posępny Goszczyński i serdeczny Pol, i chudy, zagrzebany w annałach Bielowski, i zadzierzysty Jabłonowski. A który zdradzi, to niech zeń wnętrzności jako z Judasza wypłyną. Potem statut spisano. Statut spisku, rzecz arcysekretna! Tedy go podarto na 21 kawałeczków i każdy jedną cząstkę zachował. A ilekroć zeszli się na konspirację, składano świstki razem i odczytywano z nabożeństwem jako modlitwę.

Ale pomimo statutu, tak doskonale zakonspirowanego, powstanie natrafiało na trudności. Związek „21-den" ostygł wkrótce i ograniczył się do „przygotowywania na mogącą zajść potrzebę" oraz czuwania, by się „nie zaczęły jakie niebezpieczne roboty" ze strony bardziej czerwonej i nierozważnej.

W tym czasie w ciągu lat czterech nieraz bywał Goszczyński we Lwowie tropiony i poszukiwany zaciekle przez policję. Co nocy sypiał gdzie indziej, najczęściej w browarze lesienickim, u poczciwego węglarza-piwowara Prohaski, który ma nadto szynk przy ul. Łazarza, lecz jedno i drugie odda chętnie na cele powstania. Wieczorem, chyłkiem przemykając się przez ulice, chadza Goszczyński w towarzystwie Smolki i dumali o sprawie, bo mówić nie było wolno. Smolka jest ostrożny. Goszczyński igra z policją jak z ogniem. Raz schwytany już przez patrol gdzieś pod Lwowem, wymknął się z karczmy na ustęp i czmychnął, mimo czekającego przed drzwiami kaprala z nabitym karabinem, innym razem, na bezludnej ulicy, przypada doń dwóch ajentów i chwytają pod ramiona, lecz barczysty twórca „Króla Zamczyska" wyrwał się, roztrącił obydwu, prze-

wrócił i zniknął za najbliższym parkanem. Wyjdzie dopiero wówczas, gdy go wróżka (podstawiona) ostrzeże o niebezpieczeństwie. Lecz wkrótce powraca. Gubernium poszukiwało go w całym kraju, sekretarz Kriega, szef biura Wacław Zaleski, przyszły namiestnik, słał listy gończe na wsze strony. I oto w parę dni zdarza się, że spotykają się na ulicy, obaj znajomi z dawnych czasów, literaci: poeta „Zamku Kaniowskiego“ z Wacławem z Oleska, dziś sekretarzem Kriega. Spojrzeli sobie w oczy, udając, że się nie znają. Goszczyński odszedł wolno, Zaleski zaś wrócił spiesznie do biura, by wystosować pilny i tajny raport do gubernatora, że wedle najpewniejszych, świeżo otrzymanych wiadomości. Seweryn Goszczyński ukrywa się... w cyrkule sądeckim, gdzie go szukać należy!...

Goszczyński wraz z Polem, Bielowskim i towarzyszami reprezentowali odłam spokojniejszy spiskowców, byli prawicą konspiracji, której lewe skrzydło, czerwone i żądne krwi, wysuwające hasła wywrotowe i komunistyczne, stanowili węglarze. Na ich hetmana i gorącego trybuna wysunął się wkrótce Edward Dembowski. To nazwisko starczy za hasło, symbol, jest talizmanem i świętością.

Gdy do dworku wiejskiego w Małopolsce wejdzie druciaż o kruczych włosach i zawoła: „garnki drutować“! a przytem prawą ręką na lewem biodrze położy, wówczas wszystkie panienki nawet wiedzą, że to on i uczynią tak samo, tak uczyniła p. Zosia Rudnicka: krzykną i talerz na ziemię opuszczą. Jak wygląda naprawdę, tego właściwie nie wie nikt, raz widziano go w przebraniu Węgra z olejkami, to znów pod postacią gdańskiego flisaka lub indziej w masce dziada, zawodzącego pieśni kalwaryjskie. Tylko najbliżsi mu zaręczają, że ten węgier, flisak i dziad jest w istocie jasnowłosym karma-

zynem przecudnej urody. I nie mylą się. Edward Dembowski to jedna z najdziwaczniejszych postaci, jakie napotkać można w Polsce XIX stulecia. Nietylko zwyczajny w owych latach typ „czerwonego hrabiego". Krańcowe pasje i namiętności połączyły się tu z niepospolitą umysłowością i wulkanicznym temperamentem.

Zaciekły jakobin, dostrzegający zmartwychwstanie Polski nawet... w krwawych oparach rzezi chłopskiej, wywodzi się wprost z Puław, gdzie był błękitnie chowany. Karmazyn z karmazynów, pan krociowy. Przytem namiętny demagog, wędrujący lata całe o kiju pielgrzymim od wsi do wsi. Przytem świetny krytyk literacki i esteta o głębokiej kulturze filozoficznej, a gorejącym żarze słowa. Przytem autor oryginalnie pojętej „historji literatury", i bożyszcze warszawskich entuzjastek. Panna Żmichowska kocha go, jego jednego w życiu, namiętnie, seraficznie, nieszczęśliwie. Gdyby chciał dalej pracować w literaturze, dorównałby Mochnackiemu, a przerósł Grabowskich i Tyszyńskich, gdyby wrócił do high-life'u władałby tysiącami włók, woli wszelako przykryć jasne włosy czarną, zmierzwioną peruką i biegając wzdłuż i wszerz przez Polskę, wzywać chłopów do wyjścia z niewoli szlacheckiej. Wszystkie hasła niepodległości widnieją na jego apostolskim sztandarze:

„Znacie człowieka, co zaparł siebie,
„Co dla Ojczyzny, braci, wolności
„Przebiegł pół świata o suchym chlebie,
„Wyrzekł się żony, dziatek, miłości,
„Co wiatr mu zesiekł wychudłe lica,
„Chlebem powszednim cierpienia, troski,
„Uściskiem stryczek, grób, szubienica,
„To emisarjusz — Edward Dembowski,
„Co za to wszystko, w chwili skonania,
„Chce tylko słyszeć dzwon Zmartwychwstania

Tak wysławia przywódcę emisarjuszy młody Anczyc, a Narcyza Żmichowska pisze o nim w ekstazie: „Był odważnym jak lew, szlachetnym jak epopeja i jedno tylko znał uczucie: kochał Ojczyznę. Ale ta wulkaniczna miłość wyraża się u Dembowskiego w czynach nieobliczalnych, dziecinnych, szkodliwych. Agitując w Galicji, zapewnia, że Poznańskie już powstało. Poznańczykom przysięga, że zrewoltowana Galicja czeka tylko hasła, a gdy mu udowodnią, że jest inaczej, płacze. Poczem pokonawszy wątpienie, znowu ciska piorunami zemsty ludu i dalej bieży z żagwią rewolucji społecznej w ręku.

Pankracy z „Nieboskiej..." A czy dacie wiarę, że spotkał się naprawdę z br. Henrykiem, że młodzieńcza wizja Krasińskiego urzeczywistniła się?... Było to, jak wiemy ze wspomnień St. Koźmiana, w styczniu r. 1846, tuż przed wybuchem ruchawki i rzezi. Do Warszawy przybył nagle Dembowski i zażądał rozmowy z Zygmuntem Krasińskim, który właśnie powrócił do ordynackiego pałacu. Rozmawiali ze sobą. Długo i zaciekle. Piorunami. Obaj oratorzy wspaniali. Krasiński, błękitny causeur, i Dembowski, hetman demagogów. „I tak wiele lat po napisaniu Nieboskiej powtórzyła się pamiętna rozmowa hr. Henryka z Pankracym, mówi Koźmian, te same snuły się w niej przedmioty, kwestje potrącane były te same, słowa, mało od oryginału „Nieboskiej" różne, nawet ramy podobne, owa komnata portretowa z długim antenatów szeregiem..."

Kto odniósł zwycięstwo, czy hr. Henryk tym razem przekonał Pankracego? Wiemy, że nie. W parę miesięcy później zginie Dembowski, krocząc z krzyżem w ręku na czele gromadki powstańców na Podgórzu; a wśród świadków rzezi tarnowskiej utrzymywała się

długo niesprawdzona wersja, iż widziano szaleńca na czele band chłopskich i słyszano, jak w jednym z dworów umęczonych wygrywał krakowiaki na klawikornie...

Lewem skrzydłem węglarzy lwowskich włada Dembowski od początku swej działalności; w samem mieście zjawia się dopiero w r. 1846; miesiąc zaledwie, a zyskawszy kilkusek spiskowych, rozkazuje: „zaczynamy!" Z czem? — z nadzieją, że za przykładem garstki lwowskich młodzieńców powstanie przeciw Austrji... 60.000 chłopów ruskich w Galicji. Rozważnemu Smolce grozi za opór szubienicą, swój pokoik studencki na Łyczakowie zmienia w rezydencję Rządu Narodowego. Przebrany za lokaja, podsłuchuje pono w domu wysokiego urzędnika plany rządowe, jako żołnierz w pułku Nugent podburza armję austrjacką, jako żyd handlarz i Węgier z olejkami roznosi po domach proklamacje powstańcze. Ma lat dwadzieścia, kpi z policji, igra z niebezpieczeństwem, wierzy w sprawę, a zamianowawszy na Lwów aż 12-stu zbrojnych naczelników, daje hasło wybuchu i wyjeżdża, by uczynić to samo w Krakowie. Tam, na Podgórzu, pada martwy ten mistrz konspiracji i Ahaswer idei niepodległości, męczeński zaślepieniec, który frazesem romantycznym chciał zagważdżać kanony austrjackie.

A teraz przypatrzymy się postaci innej, krańcowo innej. Tam był karmazyn, *esprit fort*, tutaj plebejusz, prostaczek i helota, obaj przy tej samej taczce węglarza. Juljan Goslar, syn kolonisty z pod Rzeszowa. Idealista, pałający żądzą zrewoltowania całego świata, samouk, wiersze pisuje i ody przeciw tyranom. Już w gimnazjum tarnowskiem ukuł straszliwą konspirację wśrod kolegów w celu wspólnego... czytania dzieł Trentowskiego. Później rozszerzył horyzonty. Polska to jeno

drobiazg w całym kompleksie czerwonych dezyderatów. Goslar z jednakim zapałem agituje w Gracu, Wiedniu i Trieście. Fanatyk, przymiera niemal głodem, aby móc za grosz ostatni kupić papieru na odezwy, które sam przepisuje. Zaznał chyba wszystkich więzień austrjackich, siedział na Szpilbergu, w Kufsteinie i we Lwowie, a skończy wreszcie na szafocie austrjackim w Wiedniu (1852). Komunista. Do wszystkich poświęceń zdolny. Na kilka dni przed nieudałem „powstaniem“ lwowskiem r. 46 potrafi pójść pieszo w największe zaspy do Sanoka, by tam pukać do śpiącej w najlepsze duszy ludu, po trzech dniach wróci, wcale nie zrażony brakiem powodzenia. „Było coś apostolskiego w tym człowieku — pisze Zygmunt Kaczkowski — wyglądał jak rzemieślniczy czeladnik... Ale w tej niepokaźnej postaci żył niezwyczajny duch i charakter. Cierpiał głód i nędzę, znosił niesłychane trudy, bity przez chłopów, więziony przez Austrjaków, zawsze gotów na śmierć i męki w przekonaniu, że tem najlepiej służy ludzkości“.

* * *

A jakież rezultaty jej sprawy spiskowej, tak wytężonej i bezmiernie ofiarnej, gdzie sukcesy roboty podziemnej i owoc krwawego trudu?

Rezultatów nie było żadnych, trud pozostał syzyfowym. Najbardziej heroiczne wysiłki jednostek mijały bez śladu, zduszone już w zarodku najpierw przez apatję i bojaźń ogółu, a potem i jeszcze bardziej przez własną niemoc spiskowców, którym brakło zupełnie poczucia rzeczywistości, którzy nie potrafili wydobyć się z powijaków romantycznego myślenia. Grzęźli uparcie

w swych mrzonkach, oczekując cudu i wierząc w „lud“, aż ich ten lud nareszcie związał i odstawił do cyrkułów. Czerwoni panowie obiecywali Polsce wyzwolenie przez lat dwadzieścia, wszelako w całym rozwoju ich prac (z jakiegokolwiek obozu wyszły i jakie miano nosiły) nie widać nieomal wcale postępu w ciągu tego długiego czasu. Garstka emisarjuszów, rzucona do Galicji po r. 31 w celu organizacji wielkiego sprzysiężenia, zostaje po latach taką samą, jeno liczniejszą, ale zawsze garstką, która niczego się nie nauczyła i nawet początkowych trudności nie przewalczyła.

Trudno dać wiarę, jak dalece dziecinne były te ich plany powstańcze. Zaliwski w r. 1832 „wypowiadał wojnę Moskwie“, mając kilka florenów w kasie „rządu narodowego“, 50 spiskowych, parę funtów prochu oraz pęk „cienkich sznurów francuskich“ do rozpinania ich wpoprzek dróg, co znakomicie przeciwdziałać miało ruchom kawalerji nieprzyjaciela. Wiesiołowski urządził powstanie r. 46 w Tarnowskiem, mając dwóch żołnierzy, t. j. siebie i Teofila Wiśniowskiego, który bawił w Brzeżanach. A ileż się musiał nabiedzić, zanim zdołał wydostać od żyda na lichwę 10 tysięcy florenów na cele powstania! Mieli zresztą wszyscy nakazane z Paryża, aby iść śladami Belwederczyków i zaczynać od napadu na koszary. Taką noc belwederską urządził Wiśniowski w r. 1846 w Narajowie, skąd w kilkanaście strzelb uderzono na Brzeżany; w tym samym momencie Dembowski wszczął rozruch w Krakowie. Obie próby miały chyba nie wiele więcej widoków powodzenia od planu Kornela Ujejskiego, który nieco przedtem, mając lat 16, wybierał się wraz z kilku kolegami na rozbrojenie huzarów w Czortkowie.

Wszystkie te próby powstańcze ani doby nie przeżyły. Padło kilkanaście strzałów ze starych dubeltówek, których jedynym skutkiem były otwarte bramy kaźni, parę wyroków śmierci i wiele, wiele fascykułów, zapisanych w więzieniu śledczem.

Przyszła nakoniec wiosna r. 1848, na którą cała podziemna Europa patrzyła z dumą jako na swoje dzieło. Polscy węglarze i partyzanci prawa do tej dumy nie mieli. Bo właśnie w roku 48-mym ujawnią całą nieumiejętność zorganizowanego, jawnego działania ani też nie potrafią uchwycić steru ruchów ulicznych we Lwowie i Krakowie. Heltman, przysłany do Lwowa, zwlekał i wałęsał się wśród barykad bezradny. Uprzedził go Hammerstein i zbombardował miasto. Ani jednej godnej uwagi inicjatywy nie ujawniły szumnie rwące się organizacje. A wtedy historja odesłała romantyczne dekoracje z całą ich papierową zbrojownią do rekwizytorni.

Chociaż nie miało żadnych widoków powodzenia planowane w podziemiach węglarskich powstanie, mimo to dwie sfery wierzyły niezachwianie w jego skuteczność: spiskowcy sami i — rząd austrjacki. Hofrat wiedeński cieszył się i strachał naprzemian, patrząc z okien gubernjum w stronę podziemnego miasta. Cieszył się, bo mu danem było wreszcie zdjąć rękawiczkę przyjemnych obietnic, strachał się, nie przypuszczając, że środki konspiracji są w istocie tak mikroskopijne.

A kiedy rząd wpadł wreszcie na trop wszystkich ważniejszych sprzysiężeń, wydano wojnę czerwonym zapaleńcom. Zaczęła się krwawa martyrologja Lwowa. Nie uwieczniono jej w „Dziadach“ wileńskich, niemniej wszakże bolesna była i niemniej od tamtej bohaterska. A może nawet sroższa. Ten dziesięcioletni prawie okres

dzikich represyj austrjackich prześcignął wszystko, co się dotąd w porozbiorowej Polsce działo. Biurokrata wiedeński tym razem nietylko dobrze skopjował wzory rosyjskie, ale dodał jeszcze okrucieństw. Wyschnięty i zgarbiony wielkorządca Galicji Krieg, ożeniony z córką lwowskiego krawca, udawał z powodzeniem Nowosilcowa. Jednooki szef policji Sacher Masoch podzielił się wraz z radcą i eks-feldweblem Wittmanem rolą Bajkowa. Prezydent sądu Pressen upijał się nie gorzej od rosyjskich czynowników. Choć nie brakło też „przyjaciół Moskali". W kapitana Rykowa wdał się potroszę porucznik Preksel, który podarł publicznie sztandar pułku, mieniąc go symbolem reakcji. Nie brakło też Rolisonowej. Na wieść o męczeńskiej śmierci swego męża, pani Ulatowska wpadnie do biura opoja-przezydenta i spoliczkuje go.

Gdy Wiedeń, stroniący od wystąpień jaskrawych, powstrzymuje zapały Kriega, wtedy lwowskie gubernjum straszy najjaśniejszego groźbą wiszącej w powietrzu rewolucji polskiej oraz inscenizuje zamach na osobę arcyksięcia-gubernatora, którego jakoby spiskowcy chcieli w katedrze lwowskiej wysadzić w powietrze w czasie nabożeństwa. Represje poczynają się odnowa, a wielkorządca zaciera ręce i oczekuje tęsknie wybuchu, zapewniając, że po trzech dniach polskich zaburzeń nastąpi w mieście sto austrjackich lat pokoju! Eksc. Krieg nie jest sam. Pozostaje w stałej i zażyłej korespondencji z hr. Paskiewiczem w Warszawie. Dla nich kordony nie istnieją! Prowokuje, węszy, więzi i uciska. Zdławił doreszty ledwie dychającą i jałową prasę, z Ossolineum kazał usunąć polskie czcionki, aby książek nie drukowano, nawet z klozetów bibljoteki wydobywali policjanci szczątki niebezpiecznych papierów, za które Słotwiński

poszedł do Kufsteinu. Całą sforę szpiclów i donosicieli rzucono w domostwa i na rogatki, zaś najwalniejszą pomoc oddawał rządowi chłop ruski, „fasujący“ 10 fl. za każdego związanego spiskowca. Tylko dzięki opieszałości podwładnych organów nie udała się w okolicach Lwowa rzeź chłopska, bo pan starosta Milbacher zrobił swoje, nakazawszy surowo mandatarjuszom, by w całym powiecie rabację urządzili.

Szał represji, podsycany strachem, ośmieszał się często bezlitośnie. Leona Sapiehę chciano np. uwięzić pod zarzutem knowań monarchicznych polskich. Rząd miał bowiem w ręku dowody, że książę przygotowuje już szatę koronacyjną. (Były to ubiory dziecinne w dniu św. Mikołaja). Jakiegoś ziemianina, bojącego się spisku bardziej od rządu, wtrącono do kazamat za to, że zamówił w hucie w Niwiskach kule... szklane do ogrodu. Cichego literata St. Jaszowskiego uwięziono, ponieważ jego niewinny sonet przedrukowany był w pismach poznańskich. Sejmy walne i konstytuanty na Pohulance przestały obradować. Policja wpadła na trop wszystkich większych sprzysiężeń. Podziemne miasto poszło do więzień w Brygidkach i Karmelitach.

W latach 1840 — 1842 miasto nad Pełtwią, ongiś bardzo przyjemne, stało się jednym wielkim kryminałem austrjackim. Zdarzyło się, że w teatrze dawano w tym czasie operę Beethovena „Fidelio“; gdy ukazał się na scenie chór więźniów, „łkanie i płacz — opowiada kronikarz — zagłuszyły orkiestrę i śpiewaków niemieckich, bo nie było w teatrze nikogo, ktoby nie miał kogoś z bliskich za kratą“. Któż bo nie nosił wtedy „szewronów“ więźnia stanu na rękawach? Pod zarzutem zdrady stanu stali Pol i Fredro, na śmierć skazano Smolkę, Dunajewskiego, Ziemiałkowskiego, wię-

zieni byli Siemieński i Bielowski, matkę 5-ciorga dzieci p. Ostrowską skazano na pięć lat kajdan, panie Dębicką i Boguszową dręczono w kaźni św. Magdaleny.

Najboleśniejsze pieśni, jakie zna poezja polska, najsmutniejsze strofy rodziły się w tej epoce, epoce kaźni i rzezi we Lwowie. „My już bez skargi nie znamy śpiewu, wieniec cierniowy wrósł w naszą skroń“ — śpiewał Jeremi Ujejski, zaś Marceli Skałkowski, zamordowany później przez chłopów, ułożył na nutę radosnej pieśni o zorzach rannych hymn pokutny, błagalny i żebraczy, który stał się pieśnią narodu: „Boże, Ojcze, twoje dzieci płaczą, żebrzą lepszej doli.“

Więzienia austrjackie ery metternichowskiej nie ustępują w srogości kazamatom Szlyselburga i pruskiej Spandawy. Czem był tyrolski Kufstein i morawska Grajgóra i Lwów karmelicki, świadczyć będą po dziesiątkach lat jeszcze snujący się po mieście ludzie o ziemistych twarzach i złamanem skrzydle życia. Szajnocha nabawił się w kaźni ślepoty, Smolka jak niedźwiedź w klatce siedział przez dwa lata w celi, mierzącej cztery kroki wszerz, w więzieniu stanisławowskiem umarł poeta Gosławski, historyka Szmitta męczono „sposobem magnetycznym“, ściskając go we śnie za mały palec, przy równoczesnem zadawianiu pytań. Jakiegoś Turkiewicza trzymano lata całe pod zarzutem, że jest... Maurycym Mochnackim, choć na mogile trybuna rewolucji dawno trawa porosła w Auxerre. Były „szelki“ czyli żelazne obręcze, któremi przykuwano więźnia do ściany w pozycji rozkrzyżowanej, aby nie krzyczał. Do ust sypano opornym miałki pieprz lub wsadzano piekielną maszynkę, zwaną „słodką gruszką“. Gdyby zamęczony i obity na śmierć Ulatowski zostawił po sobie pamiętniki, mielibyśmy lwowskiego Silvia Pellica, którego Ma-

ratem był oprawca Breinl. Całą gehennę moralnych katuszy opisują zresztą w swych wspomnieniach więźniowie: Czaplicki, Borkowski, Budzyński, Jabłonowski, Nabielak i w. i. Opowiadano, że dopiero wnuczka Franciszki Krasińskiej, zamężna za austrjackim arcyksięciem, wpłynęła na złagodzenie tortur lwowskich.

Pomimo wszystkie wysiłki dzikich „kerkermeistrów“ bohaterscy więźniowie, — wśród których najcięższą dolę cierpieli emigranci z Krolestwa, byli powstańcy, tropieni i więzieni — trwali nieugięcie. Jeden tylko nieszczęsny szaleniec Roliński, terroryzowany przez Wittmana, plótł w strachu brednie niestworzone o związkach „pstrego motyla“ i „czarnego łabędzia“, a co gorsza, wymieniał na chybi trafi nazwiska i pomnażał liczbę więzionych.

Inni nie upadali na duchu. Pisano poezje, maczając szpilkę we krwi z palców lub drapiąc na twardych ścianach odezwy. Szajnocha najpiękniejsze lata młodości prześlęczał w mroku nad księgami, późniejszy złoczyńca Kaczkowski rozwinął się w Karmelitach na powieściopisarza, Michał Budzyński tłumaczył Byrona i Szyllera, Zacharjasiewicz dwa lata wytrwał na Szpilbergu, Morgenbesser trzaską na brudnej bieliźnie pisał... najweselszy poemat owych czasów: „Obronę Sokołowa“. A gdy kwiat młodego, demokratycznego Lwowa wiądł w kazamatach, na górze szło życie swoim trybem. Ostatni mohikanie dawnych czasów, „leniuchy i fanfarony, ubiegały się o błyskotkę orderu“, hrabiny żyły w szychu i rozpuście, daremnie biczowane przez Leszka Borkowskiego w „Parafiańszczyźnie“, senność i bezwładność ogarnęła życie polskie Lwowa, którego nurty, ledwie sącząc się, groziły zupełnem wyschnięciem. „Są dwa światy: świat za kratą, świat przed kratą. Każdy

inną odzian szatą". Miał rację Maurycy Gosławski, w więziennej swej piosnce.

* * *

Całe stosy aktów tajnych, tajniejszych i najtajniejszych, krzywym gotykiem zapisane, mówią dziś o zbiorowem bohaterstwie szarej masy skazańców. I nieraz z pośród protokołów śledczych strzeli wysoko płomień nieustraszonego heroizmu, rozbłyśnie moc ducha, przed którą korzy się nawet czarno-żółty inkwizytor. Oto np. skromny i cichy zawsze historyk Szmitt, więziony w r. 1846 z Teofilem Wiśniowskim i tow. za udział w ruchawce narajowskiej, zagrożony szafotem, zeznaje przed sądem w te słowa:

„Muszę wyjaśnić motywa, które skłoniły mnie, że postanowiłem wziąć czynny udział w propagandzie rewolucyjnej. Muszę zauważyć, że owe polityczne niepokoje, jakie w Galicji od czasu do czasu powtarzają się, wcale nie dadzą się podciągnąć pod sankcję ustawy karnej, przeciwnie są one bezustanną walką, jaką naród ujarzmiony prowadzi przeciw rządowi zaborczemu, a walka ta powtarzać się będzie od generacji do generacji tak długo, aż Polska nie powstanie lub aż żywioł polski nie zostanie zupełnie zniszczony! Polska była państwem samoistnem, Austrja wraz z Rosją i Prusami gwałtem zniszczyła tę państwową samodzielność, a stąd wysnuwam wniosek, że właściwie żaden obywatel tutejszego kraju nie jest poddanym austrjackim i nie uważam siebie za zdrajcę, lecz raczej jestem jeńcem wojennym! We Francji, Anglji i w każdym innym kraju nie wdałbym się nigdy w żadne polityczne knowania, tutaj jednak

uważam za mój najświętszy obowiązek dążyć wszelkiemi siłami do wskrzeszenia mej ojczyzny i to jest motywem, że tak poprzednio, jak i obecnie uczestniczę w propagandzie rewolucyjnej!

W tem nie mogę dopatrzeć się znamion jakiejkolwiek zbrodni, wszak poucza mię historja Austrji, że państwo podobne zasady tolerowało, a przykładem wymownym niechaj będzie postępowanie Austrji po zajęciu Tyrolu przez Francuzów, która dążyła do wywołania powstania, a jeźli dobrze pomnę, postawiła pomnik Hoferowi jako obrońcy swej ojczyzny".

A potem broni się następująco:

Na moją obronę przytaczam jeszcze następujące okoliczności:

Siłą bodźczą, która popchnęła mię do tego kroku, była miłość do ojczyzny. Rozbiór Polski został dokonany nieprawnie i z pogwałceniem zasad prawa międzynarodowego. Odczuwał to i rząd austrjacki, skoro Marja Teresa tak długo zwlekała, zanim przystąpiła do tego aktu. Zresztą rząd austrjacki zezwolił jeneralności Konfederacji Barskiej, która chciała przez wojnę z Rosją wywalczyć niepodległość Polski, na pobyt w Eperies, a tem samem, udzielając tego zezwolenia, aprobował tendencje konfederacji. My Polacy nigdy nie uznamy zniszczenia naszej politycznej egzystencji, nigdy nie podzielimy zapatrywania nowszej dyplomacji, że rozbiór Polski jest faktem dokonanym, z którym liczyć się należy. Przemocą musimy wywalczyć to, co przemocą zostało nam zabrane. Droga politycznych pertraktacyj jest nam odcięta, dziś nie tworzymy ciała politycznego, a nasza znana miłość do ojczyzny pobudzi nas do wywalczenia niepodległości siłą orężną. Wskażę na tysiące tych, którzy

pod tem hasłem umierali i na tych, którzy dali się zaciągnąć pod orły francuskie w nadziei, że Francja i Napoleon przyczynią się do wskrzeszenia upadłej ojczyzny.

I w nowszych czasach męczennicy idei tej wzniosłej i szczytnej zapełniają mury więzienne, a w ich ślady wstępują inni i żadna potęga państwowa nie złamie ich ani ich następców!“

Wpisane do protokołu zeznania Schmitta kazał trybunał śledczy opatrzyć następującą klauzulą, która była hołdem, jedynym chyba objawem hołdu i czci, złożonym przez siepaczy skazańcowi. Klauzula brzmiała:

„Obwiniony jest człowiekiem niezwykłej odwagi i posiada też niezłomną siłę woli. Wobec tych właściwości jego charakteru nadzieja wszelka zmiany politycznych jego przekonań wprost jest wykluczona. Idea wskrzeszenia Polski stała się u niego manją, do tej idei jest on fanatycznie przywiązany. W toku inkwizycji nie wymienił żadnego nazwiska i starannie wystrzegał się skompromitować inne osoby, zresztą wyraźnie oświadczył przed komisją, że poddaje się z całą rezygnacją swemu losowi, nie chciałby jednak, aby inne osoby cierpiały. Zresztą zachowanie jego w ciągu całego śledztwa było spokojne i bez zarzutu.“

Te kryminały austrjackie i kazamaty Grajgóry, Kufsteinu i Lwowa były dla młodego pokolenia Lwowian szkołą patrjotyzmu, szkołą, w której udzielali lekcji czerwoni panowie w czarnych okularach. Dopiero rok 1848 otworzył im ścieżaj wrota więzienia, by po krótkiem przewietrzeniu cel ugościć nowych skazańców.

WTORKI U PANA MARSZAŁKA.

Jeśli chcecie zobaczyć Fredrę, który ludzi unika, a zarazem i Wincentego Pola, wyprawiającego się właśnie ze Lwowa na odkrycie Tatr i Podhala, jeśliście radzi poznać artystów lwowskich i mężów stanu lub ujrzeć dziwnego człowieka, który w mundurze austrjackiego gubernatora zbiera i wydaje „Pieśni ludu polskiego“, jeśli nareszcie chętnie posłuchalibyście koncertu pana Lipińskiego, a warto, bo polskim Paganinim zowią przecież tego skrzypka — to najlepiej pójść we wtorki do dworku Berskiego pod Kaleczą górą, gdzie mieszkają marszałkostwo Wasilewscy. Otoczy nas rój malarzy, poetów i karmazynów, w kontusze przybranych, zobaczymy wszystkich niemal tych ludzi, którzy mają coś do powiedzenia i na których znękany Lwów patrzy jak na wyrocznię.

U stóp Kaleczej góry, a tak niedaleko cytadeli, skąd wkrótce już pluną ogniem armaty Hammersteina stoi piętrowe zabudowanie. Świeca, kopcąca na schodach, wskazuje gościom drogę i samowary, przy których krząta się wykapany Grzegorz z „Kordjana“. Antoni, stary wiarus Napoleoński. Po schodach drapie się ku górze porastający w pierze Leon Sapieha i Maurycy Zamojski, czasem kąśliwy Leszek Borkowski i ten pilny a wygolony aplikant gubernjalny, o którym jeszcze nikt nie wie, że zeń wyrośnie — Agenor Gołuchowski. Za

chwilę przybiegnie zdyszany Kamiński, rozpaczając, jak zwykle, że nie ma, czem opłacić aktorów i komornego, potem z hałasem wpadnie młodzież głodna, nieustatkowana. Bezmała cały Lwów literacki gromadzi się we wtorki (czwartki należą do dyrektora Ossolineum Kłodzińskiego) u Tadeusza Wasilewskiego, tego serdecznego człowieka, którego kochają wszyscy: i nieskory do sentymentów Fredro i najmilszy Pol i czczący go jak ojca Szajnocha. Emisarjuszy i spiskowców daremnie szukać tutaj, ani też choćby słowem o sprawach tajnych wspominać. Bo pan marszałek jest zapamiętałym legalistą (do przesady nawet) i nie lubi myśli ni czynów podziemnych. Nawzajem czerwoni panowie nie lubią pana marszałka. Zowią go „szwarcgelberem" i chodzą koło dworku nieufnie. Nie wstąpi nigdy na górę ani długosz Bielowski w pelerynie, ani chmurny Goszczyński, już choćby dlatego, że tam można spotkać Fredrę, zbrodniarza, który uczy Polaków śmiać się.

Kto jest pan marszałek i przecz go miłują przyjaciele? W tej skromnej postaci chowa się pod wylotami kontusza kilku ludzi: najpierw gorliwy opiekun literatów, który ostatniego florena odda biednemu artyście, tkwi w nim dalej polityk (zbyt oględny może i nadto przezorny, ale wysokiej miary), nareszcie marzyciel gołębiego serca, któremu wszelako brakło dłoni mocnej do urzeczywistnienia bujnych zamysłów. W tym czasie, w latach 1834—1840, marszałek Wasilewski jest we Lwowie wszystkiem. Kupi w swym ręku wątluchne nici budzącego się znów życia kulturalnego, a najtwardsze praktyki austrjackie nie zgaszą płomieni jego idealizmu. Pan marszałek uwziął się, aby z Austrjakami walczyć w polu otwartem, w gubernjum i sejmie stanowym, bronią wniosków i memorjałów, składanych na biurkach

ministerjów wiedeńskich i „u stóp najwyższego tronu". Nie obaczysz Wasilewskiego w żadnej, broń Boże, robocie konspiracyjnej, choć go do niej ciągnie serce i przyjaciele. Urósłby z niego lwowski Wielopolski, gdyby Austrjacy nie byli tacy głupi i gdyby natura dała panu marszałkowi dłoń mocniejszą. Bo rozumu i zamysłów nie brakło.

Kiedy szlachetny profesor Maus miał w r. 1817 wskazać Ossolińskiemu wśród młodzieży akademickiej kandydata do przyszłej katedry literatury polskiej — wymienił na pierwszem miejscu Wasilewskiego. („Ten młodzieniec wywiera największy wpływ na młodzież i dał się już poznać z pięknych prac literackich"). Urodzony w Artasowie, w Galicji, sposobił się od dziecka na poetę naturalnie. Pisał ogniste wiersze, tak niepokalane w przepisanym klasycyźmie, że go wnet drugim Felińskim okrzyknięto. Uwielbiał Napoleona i ks. Józefa tuzinem dytyrambów, dumał smętnie nad grobami przodków, opiewał rozkosze przyjaźni, a wszystko ściśle według nakazów Koźmiana i Osińskiego. Poczciw i okrągły w wyrażeniach, kochał mocno Ojczyznę i „lampreura". Zamłodu zwiedził dosyć świata i Polski. Dzięki błękitnemu towarzystwu swego protektora i wuja Uruskiego bywał nawet u dworu pruskiego w Berlinie, trochę studjował filozofów niemieckich i trochę sal balowych. W r. 1815 pojechał do Krzemieńca pokłonić się cieniom Czackiego a dosyta nagadać i serdecznie zaprzyjaźnić z dwoma zapalonymi młodzieńcami Tymonem Zabrowskim i Józefem Korzeniowskim. Na odjezdnem z Krzemieńca zapewnił ich w wierszu szczerym, lubo patetycznym:

Choć mniej pogodne niebo jaśnieje nad nami,
Choć nie wolno Polakom zwać się Polakami,

Choć u nas z Muz przybytku głos ojców wygnany,
Lecz nie różne od waszych uczucia mnie grzeją
Tą, co wy, pałam chęcią, tą, co wy, nadzieją!

Wróciwszy do Lwowa, zakasuje młody zapaleniec ręce do pracy. Najpierw zakładają towarzystwo filomatów lwowskich, które marzy o łączności z Warszawą, o wydawaniu własnego pisma i o tem wszystkiem, czem gorączkuje się Krzemieniec i Wilno. Wasilewski jest Zanem, są też Czeczoci, Malewscy, brak tylko we Lwowie Mickiewicza. Mimo że przemyśliwał ciągle, jakby stać się „użytecznym Murom ojczystym“ — przecież poetą nie został pan Tadeusz, ani profesorem. Bo mu stary pan Tomasz Dąbski z Uruskim wytłumaczyli, że trzeba, choć to bardzo przykro, „z Niemcami pracować“, że należy Polakom w Galicji do urzędów się garnąć i zaborcom przeszkadzać w czynieniu złego. Młodzian napisał czuły wiersz do matki, w którym zapewnił ją, że nie będzie nigdy „Niemcom służył“ i objął w r. 1824 w gubernjum lwowskiem urząd „honorowego konsyliarza ze stanu rycerskiego“. Mimo krzywe gęby hofratów, jął się odrazu pracy bardzo gorliwej. Ta względnie mizerna szczypta inwestycyj, jakie galicyjski rząd gubernjalny w owych latach przed powstaniem poczynił, wyszła z inicjatywy Wasilewskiego. Rzecz jasna, że ledwie drobiazgów dotknąć mu pozwolono. Zajął się pilnie wraz z Bemem budową Ossolineum, którego akty zmiłowania Bożego w gubernjum czekały, wykołatał roczną subwencję dla teatru Kamińskiego, ratował od zniszczenia akta grodzkie i ziemskie u Bernardynów, zabiegał bezskutecznie, by obsadzić katedrę literatury i języka polskiego, istniejącą na papierze od r. 1817, marzyło mu się naiwnie, iż rząd zezwoli, aby Lelewel stanął na czele Zakładu Ossolińskich. Ktokol-

wiek we Lwowie zamierzał co w imię kultury, miał odrazu orędownika w tym młodym, pełnym zapału konsyljarzu. A więc Mauss, wydający swego poczciwego „Pielgrzyma polskiego", a więc Chłędowski Walenty, redaktor dwu i dużej wartości tomów romantycznego pisma „Haliczanin", i Szczepański, wydawca „Polihymnji".

Tradycje pracy kulturalnej miał pan Wasilewski w najbliższej rodzinie. Przecież jego wuj Tomasz Dąmbski, to jeden z najoświeceńszych Lwowian na schyłku XVIII w., właściciel galerji obrazów, które niedawno podziwiał Niemcewicz, a wuj Uruski ma nietylko piękne krzewy w ogrodzie juśkowickiego pałacu, ale i myśli piękne w oświeconej głowie. To są te same Juśkowice w powiecie złoczowskim, gdzie Seweryn Goszczyński poznał się z Lucjanem Siemieńskim, gdzie najmilsze chwile spędzi zamłodu śpiewak „Mohorta" i nie zapomni tego po latach: „Znam te piękne Juśkowice, ten widok z ganku na trawnik, na białodrzewy, grobowce, zamek oleski i góry, znam tę lipę z wielkim liściem, ten cierń chrystusowy, odwieczne jasiony i drzewa tulipanowe — tak jak miałem szczęście znania ś. p. pana Uruskiego, w którego domu i opowiadaniu zdało mi się być świadkiem przeszło półwiecznych, przeminionych dziejów".

Pomiędzy śpiewakiem Janusza i niedoszłym poetą zadzierzgnęły się wkrótce najmilsze związki przyjaźni, której nie naruszą czasy niespokojne i różnice polityczne. Kwiat tej przyjaźni pachnie przedziwnie w starych listach. Choć prawie rówieśny, Tadeusz Wasilewski staje się z czasem dla Pola drugą, obok Krasickiego, postacią, z której nań spływa błogosławieństwo dawnych, Mohortowych, czasów. Z jakąż nadmierną nawet skromnością słucha śpiewak Janusza uwag „kochanego

pana i przyjaciela", jak mu się zwierza ze swych zamysłów literackich, ucieszony nawzajem, że pan konsyljarz zabrał się znów do pracy literackiej i pisze powieść dydaktyczną p. t. „Szymon Brzeski". A w tym sentymencie jednaki z Polem p. Ksawery. „Pisałeś waść do pana Tadeusza. Napisz-że mu, że go kocham". Tak staruszek zaleca, a Pol posłuszny pisze to Imć konsyljarzowi, dobrodziejowi od staruszka i od siebie. Obaj kochają pana Tadeusza. Ilekroć do Lwowa przyjedzie poeta, to wszystek czas wolny przepędza z przyjacielem, tak że nawet szydzą z tego zazdrośni. „Wasilewski — rzecze w jednym z listów Aleksander Batowski — uracza Pola swoim mecenasowskim sposobem, tak go rano i w nocy odwiedza, że nieborak nie ma czasu swojej potrzebie zadość uczynić".

Pan Wincenty Pol spieszy się skwapliwie do dworku Berskiego, aby się, broń Boże, na wtorkowy wieczór nie spóźnić. Bo te wtorki u pana marszałka, to jeden z jasnych promieni na horyzoncie, zasnutym gradowemi chmurami reakcji, to skromny stół okrągły króla Artusa we Lwowie i cichy gaj Akademosa nad Pełtwią. Te wtorki, to łącznik między młodym Lwowem literackim, a resztą Rzeczypospolitej. Tędy przenikają wieści z Warszawy i emigracji, pierwsze egzemplarze „Pana Tadeusza" i romansów Czajkowskiego, tu mówi się najpierw o szalonych poezjach Julka Słowackiego (które, o dziwo, podobają się tylko przekornemu Fredrze!), tu ból wielki ogarnia „Galicjanów" na wieść, że Mickiewicz przystał do towiańczyków. W dworku Berskiego oddychają literaci lwowscy i krzepią się nadzieją czasów lepszych. Gdybyż im wolno było wszystkiego, czego chcą! Gdyby srogi Krieg pozwolił wydawać pismo literackie, ten wymarzony „Tygodnik Nauk

Literatury, Sztuki i Krytyki", w którym p. Tadeusz chce skromnie jako dziadek przy organach kalikować", gdybyż nie przeklęta sfora szpiclów austrjackich, dybiących na życie biednych emigrantów z Królestwa, Seweryn Goszczyński nie potrzebowałby się ukrywać przed okiem policji i patrzałby mniej koso na wtorki w dworku Berskiego.

Prezyduje zebraniom Fredro, o ile przyjdzie. Bo braknie go nieraz, gdy albo aktorów do nowej sztuki ćwiczy, albo markotny zamyka się przed światem. Lecz i wtedy nawet nie zamyka serca przed p. Wasilewskim, druhem swoim serdecznym, który mu od młodych lat dziwnie do serca przypadł. Fredro kocha w p. konsyljarzu jednego z tych niewielu ludzi, o których wie, że go w pełni rozumieją. Poglądy polityczne jeszcze bliżej łączą ze sobą obu przyjaciół. Obaj legitymiści zdecydowani, torysi, czerwonym poszeptom niechętni, już dawno przed Szujskim przyszli do przekonania, że *liberum conspiro* gubi po raz wtóry Polskę. Na walkę z rządem zdecydowani *à outrance* ale na drodze legalnej. Bardzo pragną kolei żelaznej i języka polskiego w urzędach, mniej pragną rewolucji. Przeżyją razem lata ucisku, irytować się będą na centralizację, a cieszyć szczerze „wiosną ludów". Pan marszałek czci w Fredrze największego obok Mickiewicza pisarza, w co, jak wiadomo, nie wszyscy w Polsce jeszcze uwierzyli. Fredro wzajem lgnie szczerze do przyjaciela. Za nic w świecie nie napisałby nigdy nikomu artykułu dziennikarskiego, marszałkowi obiecuje to z całą gotowością w jego projektowanem piśmie. Jeszcze jedno umiłowanie łączy przyjaciół: lubią obaj facecje czyli historyjki wesołe i obaj przednio umieją opowiadać. Gdy przez Lwów przejeżdżał słynny z dowcipu pan Niesio-

łowski, Fredro wyłuskał staruszka z dykteryjek i przyniósł je zaraz na wieczór wtorkowy. Największe uciechy wywołał swawolny ucinek na pewną podkomorzynę powiatową, w której kochał się podkomorzy koronny:

Oj, podkomorzyno, jakżeś ty zdradziecka!
Koronna-ś we dnie, w nocy krzemieniecka.

Dochowało się nieco korespondencji obu przyjaciół, garść listów ciekawych i serdecznych. Gdy w r. 1837 pojechał Wasilewski na święta Bożego Narodzenia do swoich Juśkowic, oto jakie życzenia wysłał w ślad za nim Fredro: „Dziękuję Ci za twoją pamięć. Spokojni moglibyśmy być, gdyby w naszych wzajemnych życzeniach była rękojmia szczęścia. O tem obydwaj jesteśmy przekonani. Wiem także dobrze, czego ci życzyć, jakby sobie samemu. Nie bogactw, ani honorów, tytułów, zabaw, ale jednostajnej spokojności domowej i zdrowia drogich, lubych główek, które nam tak zręcznie i powoli duszę wykradają, że nim się postrzeżemy, już mało dla nas samych zostaje... Od nas obojga obojgu Wam powtarzając tysiączne życzenia wszelkiej pomyślności — całuję cię serdecznie, jak twój prawdziwy przyjaciel Fredro“.

Nie wielu ludzi w Polsce otrzymywało listy, podobne od autora „Zemsty“.

Gwarno i rojno jest we wtorki u państwa Wasilewskich dzięki młodzieży. Pan marszałek lgnie do niej całą swą dobrą duszą, ale cóż? Z młodzieżą smutniejsza sprawa, jak ze starymi przyjaciółmi. Ot np. upodobał sobie wielce biednego gimnazjastę Jana Dobrzańskiego, zrobił go swym sekretarzem i chce na ludzi wyprowadzić. Ale temu rozhukanemu temperamentowi, który w gimnazjum przemyskiem był postrachem belfrów, nie sposób cugle nałożyć. Ani mu w gło-

wie Hegel i grecka filozofja, choć go do niej p. marszałek wraz z Polem zachęcają. Uczy się Jaś czupurny tylko pod przymusem, obkuwa Platona, ale ani mu się śni składać rygoroza, stokroć więcej kocha politykę i dziennikarstwo. Ukradkiem zanosi artykuły do „Dziennika Mód Paryskich“ i okrywa się radosnym rumieńcem na wieść, że pan marszałek będzie miał swe własne pismo. Nieokiełzany jak wichr i burza wyrośnie nagle w r. 1848 na trybuna ulicy, a gdy po jakiemś ognistem przemówieniu zemdleje, w lot zrodzi się na ulicy wersja, że król polski zachorował. „Jana IV“ weźmie potem w kamasze kapral Hammersteina, a gdy cały powróci — będzie odtąd przez cztery lat dziesiątki niepokoić i naprzemian użyźniać zagony prasy galicyjskiej, ten najbardziej nieokiełznany z temperamentów, jakie ma historja polskiego dziennikarstwa.

Drugi pupilek pana marszałka ma naturę krańcowo przeciwną, a talent niezwykły. To ów syn czeskiego mandatarjusza, w którym już wkrótce rozbłyśnie wielki artysta-dziejopis, pouczający zdziwioną Polskę, jak winna czytać w swych dziejach!... Narazie jeszcze widzi się Karolowi Szajnosze, że ma widoki zostania polskim Szekspirem. Wystawia u Kamińskiego dramaty, w których Dawison napróżno wysila się w głównych rolach, bo pierwsi lwowscy recenzenci Dobrzański i Borkowski krytykują Szajnochę bez miłosierdzia. Karol Szajnocha, choć patrzy w pana marszałka jak w obraz, unika przecież starannie wtorków, tak jak w ogóle unika ludzi. Woli jeść powidła i grzebać w starych dokumentach. Niechże przynajmniej na obiad przyjdzie! — niecierpliwi się Wasilewski. „Łaskawy panie dobrodzieju, a prawie ojcze, nie przyjdę, bo mam febrę“. Tedy się pan marszałek rozsierdził nie na żarty i taką epistołę wyciął odludkowi:

„Przed sądem gospodyni domu, która zajechawszy na to miejsce w dniu 8 czerwca 1844, na trybunale przed samowarem zasiadła, wniesioną została przeciw panu Karolowi Szajnosze, jako tenże obżałowany *spretis legibus divinis et humanis*, długu grzeczności damom, z Polski przybyłym, winnego płacić wzbrania się i przed jego spłaceniem ucieczką się salwuje i haniebnie się przed ich wzrokiem ukrywa, a przez to cały dom obraża i krzywdzi — a gdy obżałowany, będąc zapozwany do sądu na godzinę 7-mą wieczorną w dniu 8 czerwca nie stawił się i do dawnych zbrodni nowe nieposłuszeństwo prawu i sądowi dodał, więc przeciw obżałowanemu stanął wyrok zaoczny skazujący go, aby się nazajutrz, t. j. w niedzielę, dnia 9 czerwca, o godz. 2-giej popołudniu, stawił na obiad dla odsiedzenia zasłużonej kary, całą godzinę przy stole naprzeciwko i wobec panien polskich, któremi wzgardził, a to dla większego wstydu i ukarania, w dniu imienin panny Szczęsnej i urodzin p. Wincentego Chochlika Wasilewskiego. A że od niniejszego wyroku *in contumaciam* wydanego, appelacja żadna według Milbacherowsko-Ziołechowskiego kodeksu miejsca nie ma, więc na przypadek oporu i nieposłuszeństwa ze strony skazanego, sąd postanowił: w trzy sekundy po uderzeniu trzech kwadransów na 2-gą wysłać za zbiegiem patrol, złożony z czterech dziewcząt z garderoby, uzbrojony w szpilki i nożyczki, który ukrywającego się zbiega wyśledzi, schwyta, zwiąże tasiemkami i żywcem lub w razie oporu trupem do sądu przystawi".

Minie wiele, wiele lat od tych chwil beztroskich, gdy gasnący już i prawie ślepy dziejopis wpisze do pamiętnika córki p. marszałka Felicji cztery krótkie, ale jakże dobre słowa: „Czciciel ojca, przyjaciel córki Karol

Szajnocha". Czasem przecież da się odludek uprosić i napije się wtorkowej herbaty. Tak poznał go po raz pierwszy Wincenty Pol i zachwycony dziejopisarską namiętnością młodszego brata w Apollinie, długie godziny z nim gawędził.

Ale najmłodszy z nich wszystkich, najbardziej namaszczony i egzaltowany, trochę pozer i przewrócona głowa, to ten młody, który tu jak po ogień wpadnie czasem z Dawidowa, wypije herbatę duszkiem i głosem młodego proroka odczyta poemat, w ciągu dwu nocy napisany:

W Suzie, na dworze, król Darjusz ucztuje,
Stu niewolników jemu usługuje.

Lwów cieszy się tym młodym poetą jak wielkim darem niebios, trzęsie się nad nim niby nad drugim Mickiewiczem i czwartym wieszczem narodowym. To Kornel Ujejski. I on też po latach wspomni o tem w swojej autobiografji: „W wycieczkach do Lwowa kochałem się, szalałem i bywałem na wieczorach literackich u marszałka Wasilewskiego. Już znano mię jako poetę i bardzo kochano".

Rozwichrzony Kornelek był w owe czasy dla Lwowa takiem nadprzyrodzonem zjawiskiem, jak dla Warszawy Deotyma, wieszczka z ul. Królewskiej. On czytał swe poezje nad Pełtwią co wtorku, ona w poniedziałek improwizowała przy ul. Królewskiej nad Wisłą. Dzieliły ich kordony, a jeszcze bardziej wzajemna nieznajomość i brak wymiany myśli, a przecież mimo to jak bliski i bratni był nastrój obu salonów!

Tadeusz Wasilewski ma wielu przyjaciół wśród młodzieży. Malarze Tepa i Bartus coraz korzystają z jego pomocy. Bartus szczególnie obiecuje wzamian wiele pracować, pisze z Wiednia, że już „posiadł wszystkie sekreta kunsztu malarskiego", chociaż z obrazów

jego wcale tego nie widać. Lecz to drobnostka wobec kłopotu z obwiesiem Dzierzkowskim, który pisze coraz lepsze powieści, ale strzela coraz gorsze głupstwa, aż się odeń poczciwi ludzie odwracają. Pan marszałek, opiekun Dzierzkowskiego, nie przestaje wszelako wierzyć w jego poprawę i ratuje go w ciężkich sytuacjach. W r. 1830 daje mu posadę w Ossolineum i popiera u kuratorji, chociaż popijała wcale na to nie zasłużył i łajdaczy się dalej z ulicznicami. „Śmiem to przedstawić W. Ks. Mości — słowa listu do Lubomirskiego — iż Dzierzkowski przeszedł już przykrą szkołę doświadczenia, sam się przekonał, że grzeszył i wrócił na dobrą drogę. Przypominać mu teraz dawne uchybienia — byłoby to upokarzać go przed nim samym“. Ale ojcowska opieka nie zabiegła drogi złemu. Dzierzkowski marnował świetny talent i staczał się coraz niżej w rynsztoki. A gdyby jeszcze wiedział p. marszałek to wszystko, co nie było tajne Leonowi Sapieże o arcypodłych źródłach jego dochodów, serce pękłoby mu chyba z bolu. Nie udał się też Wasilewskiemu inny pupil, rusin Marcin Szaszkiewicz, który się brzydko wywdzięczy „panu konsylarzowy“, choć go z chłopskiej chałupy do szkół posłał i nieustannie wspierał. Wyrośnie zeń drugi obok Szewczenki wieszcz Ukrainy, zamąci dużo wody i wraz z świętojurcami przeciwdziałał będzie ugodzie polsko-ruskiej w r. 1848.

Za wszystkich, którzy dobrego człowieka o pomoc prosili, niech powie Kamiński, wiedzący dobrze, że niema tak ciężkiej opresji, w którejby nie pomógł Wasilewski. W r. 1825 wykołatał mu u rządu 2.000 fl. rocznej subwencji dla teatru, co miał zbędnych guldenów w kalecie, to dawał, a gdy nie starczyło, stworzył towarzystwo akcyjne dla ratowania sceny i dyrektora

z długów. Oto jeden z listów Kamińskiego, które nieraz wydobywały marszałkowi z kieszeni ostatniego cwancygiera: „JWPanie! Wiem, że nadużywam dobroci Twojej, ale rozpacz wiedzie mię ku temu. Gospodarz wypowiada mi sądownie pomieszkanie, żyd grozi zabiorem ruchomości, pan Bensa zdefiniował, aby teatr zamknąć i oświadczył, iż już więcej grać nie będzie, reszta aktorów żąda przynajmniej po kilka reńskich codziennie!... Nie uwierzysz, Panie, żem dnia wczorajszego z rodziną nie miał nic ciepłego w ustach, bo kilka złotych, na kuchnię przeznaczonych, odebrali aktorowie pomniejsi. Dziś na obiad sprzedałem dykcjonarz włoski i „Dworzanina“ Górnickiego. Imieniem ludzkości zaklinam cię, J. W. Panie, spraw, aby choć przy życiu utrzymać zgłodniałych!“

Pieniędzy i protekcji! Pod tem hasłem pukają nieustannie do dworku pod Kaleczą górą. Obok Kamińskiego genjalny ekonomista Supiński, nie mogący wyżyć z nędzy urzędniczej, obok Dobrzańskiego Tepa i przyrodnik Stanecki. Każdemu się marszałek przysłuży, jak może, więc go we wdzięcznej chowają pamięci. Wódz malarzy romantycznych przysyła mu swe obrazy do spieniężenia i stokrotnie dziękuje za pomoc, Dominik Magnuszewski, praojciec impresjonistów, wiedzie z p. konsyljarzem listowne dysputy literackie na temat, czy dobrze postąpił Mickiewicz, pisząc „Pana Tadeusza“, oraz kim jest Maurycy Mochnacki, „genjuszem zapoznanym“ czy „jedwabnym robaczkiem, miotającym się nad siłę“.

Prócz wtorku, poświęconego muzom, są jeszcze inne dni tygodnia. Wypełniała je zaś ciężka służba publiczna. Trzeba siedzieć w gubernjum razem z kościotrupem Kriegiem i patrzeć, jak szelma coraz nowe

stryczki polskości na szyję zakłada, trzeba wytrzymać za kulisami marnej komedji sejmu stanowego. Tylko gołębi optymista, bez żółci mógł przez lat kilkanaście wytrwać w wydziale stanowym. Praca Wasilewskiego na tem polu była symboliczna i dająca miarę systemu rządowego. O wszystko zabiega, niczego prawie nie osiąga. Ciężka rola pośrednika między makjawelskim rządem a stanami i szlachtą galicyjską nie przysporzyła Wasilewskiemu przyjaciół. Lecz nie ustaje w pracy. Przygotowuje wciąż nowe wnioski, memorjały, prośby do tronu, który wcale nie odpowiadał albo zbywał ogólnikami, albo wprowadzał rzecz w życie w spaczonej formie po dziesięciu latach. Chodzi o rzeczy prymitywne, najoględniejsze. W r. 1825 kołata o wsparcie dla teatru, w r. 1828 przynagla sprawę otwarcia Ossolineum, w r. 1833 stawia wniosek o założenie Tow. Kredytowego, na co w dziesięć lat później pozwolono, w r. 1834 uprasza „najpokorniej", by uwolnić katowanych w więzieniach emigrantów i zaprzestać znęcania się nad emisarjuszami, w r. 1836 daremnie stara się o założenie banku dla popierania przemysłu, w r. 1841 ośmiela się nienasycony człowiek prosić o nie mniej, nie więcej jak o przywrócenie języka polskiego w sądach, w r. 1842 stawia projekt już zupełnie „rewolucyjny", — oto: aby religji w szkołach parafjalnych udzielano w języku „krajowym"! Jeszcze w r. 1843 memorjał o zniesienie pańszczyzny i zmianę stosunków poddańczych, w r. 1845 wraz z Aleksandrem Fredrą prośba o zawiązanie towarzystwa akcyjnego budowy kolei żelaznej Lwów—Kraków. Dalszych wniosków nie stawiał już pan marszałek, bo tymczasem farsa sejmu stanowego skończyła się. Legitymistyczna droga próśb pokornych zawiodła. Do głosu przyszli czerwoni pano-

wie w czarnych okularach. — Powstanie r. 1846, rzeź chłopska i egzekucja na Hyclowskiej górze. Kornelek Ujejski pobiegł w dniu tym do Karola Szajnochy i płakali w głos obaj; razem z nimi płakał Lwów i zaciskał pięści. Gołębi konsyljarz, teraz dopiero, chociaż późno trochę, zrozumiał, że praca z Austrjakami jest niemożliwa. Przyznał nareszcie rację czerwonym panom i pierwszy szedł za wozem, który wiózł Wiśniowskiego na miejsce stracenia. Pożegnał „kawki" i wrócił na wieś, aby niedługo cieszyć się wiosną ludów i życiem. Gdy zwycięska reakcja wzięła powtórnie Galicję w czarno-żółte szpony, znękany umarł w r. 1850 w Juśkowicach ten drugi — obok Wacława Zaleskiego — niepoprawny, uparty optymista, który daremnie szukał dobrej woli w pałacu gubernatorskim. A w owym czasie sztuka lwowska, którą tak bardzo pieporał, rozwijała skrzydła do wysokich lotów.

W MIEŚCIE KOSSAKA I GROTTGERA.

Wiadomo, że nie skąd indziej, lecz z pod stóp Wysokiego Zamku ruszyły pierwszy raz kłusem Kossakowskie bułanki i pan Mohort wyjechał na polowanie, wiadomo, że ze Lwowa, nie skąd inąd poszła w świat sława kartonów „Wojny“ i „Lituanii“. A jeśli spytać o najlepsze do połowy XIX stulecia portrety — będą także lwowskie. Generał Dembiński siedzi nad mapą na obrazie Rodakowskiego, pani Aszpergierowa z błękitem w oczach i kwiatami we włosach uśmiecha się z portretu Rejchana w Sukiennicach. Dlaczego więc zapomina się zawsze, co Lwów dał sztuce polskiej? Bo gdyby się pamiętało, wtedy może bez uśmiechu pozwolonoby szaremu miastu zwać się — przez krótkich parę lat przynajmniej — polskiem Monachjum.

Szczególne doprawdy to nadpełtwiańskie Monachjum! Miasto, które nie ma wcale oblicza artystycznego w swej architekturze ani senatorskich pomników przeszłości, ani szkolnictwa malarskiego, ani żadnej w owym czasie galerji, miasto, do roku 1834 nie wiedzące jeszcze, co znaczy wystawa obrazów! Kraków miał podówczas świątynną atmosferę Aten, Warszawa — tradycje królewskiego mecenasa, a Lwów nic, chyba przebujną ciekawość życia i dużo, dużo iskier temperamentu, rozpierającego każdą kostkę bruku, po którym dudnią austrjackie armaty. Z takich skromnych czerpiąc zasobów, ofiaruje butny gród kresowy trzy najświetniejsze nazwiska

sztuce swego narodu, wzbogaca plastykę półsetką imion, godnych uwagi, więcej jeszcze: otwiera w historji malarstwa polskiego jedną całą, acz krótką epokę jego dziejów.

Jakże cudnie rodzą się z bożej łaski talenty! Oto najpierw ten, co wszystką Rzeczpospolitą w akwareli na papierze wathmanowskim umieści i odtworzy ołówkiem to, o czem śpiewa Janusz i mówi ze sceny Fredro i gawędzi pan Pasek z Soplicą — Juljusz Kossak. Wiadomo, skąd wywiódł ród swój. Syn urzędnika kryminalnego, urodzony w Wiśniczu, wychowany we Lwowie, powinien był zostać st. radcą sądowym w Bohorodczanach, gdyby nie uparta pasja, z jaką osmarowuje ściany mieszkania ojcowego; gdyby nie estyma, jaką ma wśród kolegów, słuchających jak i on *utriusque iuris* na lwowskiej wszechnicy. Na bruku lwowskim rozwija się Kossak. Tu staje się artystą Grottger w czasie, gdy Szwejkarty i Rejchany stworzyły osobną szkołę portretu. Lwowskim malarzem jest Tepa, doskonały akwarelista; lwowskimi studentami są Streitt (ur. w Brodach) i Leopolski (ur. w Drohobyczu); Lwów nareszcie dał Kielisińskiemu palmę wśród starych sztycharzy i uczynił go rodzicem polskiej akwaforty; Lwów nakoniec zdobył sztuce polskiej pierwszy wielki sukces europejski w r. 1852, olśniewając Paryż portretami swego wychowanka Rodakowskiego. Dziwne szare miasto, bez architektury i tradycyj, bez akademji i muzeów! A jeszcze dziwniejsi ludzie ci lwowscy malarze. Nie można wiele nauczyć się w mieście rodzinnem i niema na co patrzeć, tedy wędrują po świecie, żarłocznie chciwi wiedzy, o ile przedtem nie pomarli z głodu. Jeżdżą do Rzymu i Grecji, wysiadują w pracowniach Wiednia, Paryża, Monachjum i Drezna, podpatrując

Verneta i Delaroche'a, Kaulbacha i Wurzingera, ucząc się u Fügera, Winterhaltera i Ary Szeffera! Zaś na obczyźnie tęsknią wszyscy do Lwowa tak jak Grottger, który, miast w r. 1867 cieszyć się wiosną w ogrodzie luksemburskim, bieży myślą do „biednej ojczyzny, jeszcze długo w śniegach białych uśpionej“, i przypomina „Lwów ze swoim tysiącem dzwonków i sanek“. Niesłonny do czułości Kossak napisze po latach do Tepy: „Drogi Franciszku! Czyż można zapomnąć chwile, spędzone razem we Lwowie, spacery na Wysoki Zamek, posiedzenia artystyczne u mnie i u Ciebie, kiedy się malowało minjatury. Mój Boże!...“ Artysta lwowski zwykł śpiesznie z wędrówki do miasta swego wracać. Niemal każdy z wyjątkiem Kossaka. Wraca Rejchan, syt Wiednia, wraca Tepa, upojony wschodem, i Szlegel, któremu podróże nie zastąpiły braku talentu. Andrzej Grabowski, dziecko Zwierzyńca, przywiąże się do Wysokiego Zamku serdeczniej jak do Wawelu, wróci do Lwowa i swoich Bortnik Rodakowski po triumfach, wróci Grottger — w trumnie.

Jakieś bezmierne i namiętne ukochanie palety i sztalug krzewi się w tem mieście. Malujemy wszyscy, mimo czasy smutne. Jeśli co trzeci przechodzień chce być poetą, to co dziesiąty obciąga płótnem blejtramy. Obrazy nie podlegają cenzurze, farb nie można zamknąć do c. k. kryminału. Nietylko pan sędzia kryminalny Kossak ma aż dwu synów, co mu w mieszkaniu ściany psują, nietylko pan dziedzic Grottger z Otyniowiec szczyci się Aciem, którego już w r. 1852 chwalą w gazetach. Jest także cukiernik Tepa, zrozpaczony, że mu syn przystał do artystów, i stary Raczyński w magistracie i Leopolski w Drohobyczu. A tylko szanowny mecenas Paweł Rodakowski, w którego kancelarji pra-

cuje za biurkiem dependent — Franciszek Smolka, któremu synów uczy Karol Szajnocha, tylko pan Rodakowski nie przypuszcza, jaka chluba wyrośnie z jego Henryka. Nie wszyscy jeszcze. Malują i — Boże, zmiłuj się — damy. Pani Szeptycka i Humiecka, Turkułłowa i Zielińska z Krzemieńca. Poczciwy Szczęsny Morawski psuje całe postawy płótna w rozpaczy, że muzy nań nie łaskawe. Felicjan Łobeski lata całe marzy, aby kiedyś na wielkim obrazie odtworzyć cmentarz, trawnik i trupią główkę, na której motyl barwisty przysiadł.

Prócz tych notuje historja sztuki kilkadziesiąt innych nazwisk, a drugie tyle nieznanych można odszukać w rocznikach starych gazet i listach artystów, lecz najmniej na obrazach, które rozproszyły się po świecie. Dyletantów, nieuków i miernot mnóstwo, ale talentów zmarnowanych też wiele. Jak w innych dziedzinach, tak i w plastyce. Na stu lwowian dziewięćdziesięciu spało, reszta czuwała za wszystkich. Malarze lwowscy rodzą się generacjami; może żadne inne miasto nie wydało tylu *famiglii d' arte*. Mamy zrazu dynastję Rejchanów — dziada, ojca i syna, potem trzech Kossaków, choć ze Lwowem rozbrat wzięli, potroszę i Grottgerów, bo i ojciec malował. Jeszcze są jacyś Siemianowscy, Orlikowscy, Stroińscy. Malarzy lwowskich prześladował jakiś tragizm złego losu. Iluż ich było, podobnych do swego hetmana Grottgera, iluż ich tak samo rozpoczęło lot orli, by paść w połowie drogi. Więc ten, przepysznie zapowiadający się Marceli Maszkowski, najdelikatnieszy z rysowników, to Lunda, co byłby mistrzem, gdyby w 30-tym roku życia nie dostał obłędu, to młody, zmarły akwarelista Łuczyński i suchotnik Orlikowski, to wreszcie tajemniczy, nikomu nie znany, pono wielki talent Tyrowicza.

Entuzjazm lwowski dla sztuki wyda niejedno śmiesznie nieudolne płótno i przybierze nieraz formę naiwną. Tak w r. 1843 np. Lwowianie pielgrzymować będą w zachwycie do obrazu Jana Tysiewicza p. t. „Magdalena“, wywiozą dziwo do Warszawy, Drezna i Lipska, wieszcząc „triumf sztuki polskiej“, a potem okaże się owa „Magdalena“ bardzo przeciętną kopją. Kiedy indziej wybieży w świat ze szpalt lwowskich wołanie mądre i przewidujące. To Wincenty Pol, który w r. 1839 napisze: „Widoki ziemi naszej mają stronę poezyjną, ale pochwycić ją trzeba! Oto jest wielkie tło malarza polskiego, to jego szkoła, jego wzór i galerja... Jakże nowa, jak świetna i dziewicza urosłaby szkoła z żywego pojęcia tak dziwnych, tak różnych barw. Potrzeba tylko widoki przyrodzenia ująć w ramy, zbliżyć oku i tajemną ich mowę podchwycić“.

Artykuł twórcy „Pieśni o ziemi naszej“ przeszedł prawie bez wrażenia. Nie wiedzieć, czy go czytał mały Acio w Ottyniowcach, czy dotarł do mieszkania pana sędziego Kossaka w Karmelitach i czy się nad nim zadumał śliczny, ubrany student w „vatermörderach“ w kancelarji mecenasa Rodakowskiego?.. — —

Do połowy 18-tego stulecia nie było plastyki polskiej w Polsce, a do końca tego wieku nie było jej we Lwowie. Dawno, przed wiekiem, umknął z nad Pełtwi tajemniczy i wspaniały rytownik Jan Ziarnko, potem król Jan III chwalił sobie bardzo malarza Bazylego ze Lwowa, potem Czechowicz jeździł tędy do Podhorzec. A zresztą kaduceusz sztuki spoczywał w żylastych dłoniach „miszczańskich“ pacykarzy, którzy związali się nawet w cech osobny i nie żałowali farb ani blajtramów na najświętsze obrazy do świątyń lwowskich. Ale gdy p. Kossakowska popróbowała raz pozowania

lwowskiemu pacykarzowi — gorszym koczkodanem wyszła na konterfekcie, niżli była w rzeczywistości. Aż naraz zjechał nad Pełtew najpłodniejszy z portrecistów króla Stasia Imć Pitschman. Uwiecznił był przedtem chyba połowę society warszawskiej, a teraz około r. 1794 zasiadł do sztalug we Lwowie. Pitschman wraz z dziadkiem Rejchanem otwierają na jałowym jeszcze gruncie ekspozyturę malarni króla Stasia i ukazują smutnemu miastu słodycze aksamitnych portretów rokoka. Tymczasem z Austrjakami przybyła do Lwowa cała falanga obieżyświatów, przywożąc z sobą trochę życia i wiedeńskiej europejskości, która odtąd spoi Bogu ducha winne miasto na długie lat dziesiątki z gustem i fasonem wiedeńskim. Jakiś Czech Klimesz, nauczyciel Alojzego Rejchana, jakiś Holender Buisset, znowu głośny i wzięty Francuz Guerard, wiedeńczycy Haar i Weichselbaum uwieczniają na kości słoniowej mundury krajshauptmanów i dekolty pań generalskich, minjatura wchodzi w modę, szczycąc się swymi „mistrzami". Te, często poprawne w rysunku i kolorycie fabrykaty nie mają jeszcze nic wspólnego ze sztuką polską, której gorąco chciałby służyć poczciwy geometra i naśladowca Stachowicza — Głogowski. Obcy przybysze coraz głębiej wsiąkają w grunt. Do takich należy Laub, dalej wcale zdolny Haar i Lange, a wreszcie pracowity i biegły Wirtemberczyk Szwajkart. Dopiero w r. 1802 przybywa do Lwowa, ale nim się spodzieje przemienienia w polskiego szlagona, kupi wieś polską za cwancygiery, z malowania gęb polskich uciułane. A gdy w r. 1846 przyjdzie mu z rusznicą w ręku bronić dworu swego przed poczciwym ludkiem, będzie się już staruszek czuł „całym Polakiem". Zapełniają do dziś ściany lwowskich domów te żwawo malowane,

zawsze wzorowe w podobieństwie „szwajkarty“ o przedziwnym, jak ktoś powiedział, „uroku dokładności i suchości“. Jest ich wyżej tysiąca i nieraz płacze historyk starego Wiednia, że tu ugrzęzły. Szwajkart będzie malował bardzo długo, a zblednie dopiero i odpocznie w swoich Rykach z pojawieniem się Alojzego Rejchana. Rejchan — to pierwsze lwowskie nazwisko, pamiętne w dziejach plastyki polskiej. Zgoła nowe dla Polski rzeczy przywiózł z Rzymu młodzian o kruczych, na ramiona spadających włosach: miękki jak aksamit koloryt i wypieszczoną, salonową układność. Rejchana nie pokusiła w Rzymie grandilokwencja nazareńczyków Overbecka i proroczy tupet Stattlera. Został w salonie, miast wędrować po Monsalwatach, i stał się rodzicem tych wszystkich znacząco uśmiechniętych pań w szalach kaszmirowych i wyfraczonych kawalerów z epoki *juste milieu*. Czem był dla kongresu wiedeńskiego Isabey, czem dla legendy napoleońskiej Vernet, tem jest dla Lwowa — Rejchan. Dla Lwowa tylko, czy może dla całego romantyzmu wogóle? Nikt inny, tylko on jest kochankiem romantycznej damy, tej właśnie, którą tak dobrze znamy z pieśni i powieści. Oto hrabina Idalja z Fantazego, oto pani Dafnicka z VIII pieśni Beniowskiego i Denderowa z „Komedjantów“ Kraszewskiego, oto przeróżne kobietki z kwiatem we włosach i sakramentem w pierścionku, bohaterki „parafjańszczyzny“, uczesane w nioby i szyldkretowe grzebienie. Tak dobrze wychowanego malarza nie widziano dotąd we Lwowie, tak milutko nie nakładają farb ani krakowianie, ani warszawiacy, a przeto pieścił Lwów chłopaka o długich kędziorach, zowiąc go z miłą przesadą swym Lawrencem, Daffingerem i Winterhalterem.

Zaczyna się jakoś ożywiać — choć zwolna i opornie — plastyka pod Wysokim Zamkiem. Jeszcze nie powymierali przyjezdni „kunstmalerzy“ i umieją dzięki rutynie utrzymać się na powierzchni. Lange pracuje szereg lat w dekoratorni teatru, dowcipny Machold utrzymuje się z karykatur, niezły rytownik Swoboda zarabia wiele u Fredrów, jakiś Czech Brsteńsky robi zdumiewająco dobre portrety, Auer produkuje obficie ryciny, a obok nich garstka zdolnych i marnych, ale porówni z głodu zdychających tubylców. Rytownik Tomaszewski ozdabia „Lwowianina“, pejzażysta Derdacki rzuca tysiące studjów martwej natury i drzew, które czuł znakomicie. Zdychają z głodu, bo trudno, aby wszystkim dopomógł jedyny prawie mecenas i patron sztuki we Lwowie Gwalbert Pawlikowski z Medyki, jak również trudno, aby wszystkich malować uczył poczciwy dzierżawca z Barszczowic — Jan Maszkowski. Panu dzierżawcy godzi się bardzo nisko pokłonić. Malarzem był bardzo przeciętnym, sztywnym w kolorycie i rysunku, (ani go równać z Rejchanem lub choćby Szwajkartem), ale zato profesor zeń chyba najbardziej zasłużony ze wszystkich nauczycieli plastyki w pierwszej połowie wieku; tembardziej, że ani Stattler w Krakowie, ani Brodowski w Warszawie zdolności nauczycielskich nie mieli. Z pomocą Stanów galicyjskich otwiera Jan Maszkowski, kształcony w Rzymie i Wiedniu, szkołę rysunków przy akademji politechnicznej. Z tej szkoły wyszły chluby Polski — Kossak i Grottger, dalej Raczyński, Lunda, Tepa i Młodnicki. Ten cichy i dobry człowiek miał snać niezwykłą miłość sztuki i dar uczenia!

W latach 1845—1850 Lwowianie uczą się pilnie w Wiedniu. Zjechała tam z nad Pełtwi cała kolonja. Jest Tepa z Leopolskim, Łobeski z Loefflerem i malują

siarczyście, biorąc także udział w rewolucji wiedeńskiej, dopóki ich wszystkich w kozi róg nie zapędzi — Grottger.

W latach najcięższej udręki i najzłośliwszych austrjackich szykan rozpocznie się najpiękniejsza w dziejach doba sztuki lwowskiej, owo płodne, bujne i wspaniałe dwudziestolecie (1840—1867), w którem z pod Wysokiego Zamku popłynie wieść krzepiąca, że mamy już malarstwo, godne poezji, pójdą w świat pierwsze rysunki Grottgera i pierwsze akwarele Kossaka i pierwsze obrazy Rodakowskiego. A za przykładem Lwowa zaczęła malować Polska.

W REDAKCJI LWOWSKIEJ

ANNO 1860.

Lwów, który nigdy nie miał szczęścia i wytrwałości do utrzymania pisma literackiego, raz przecież w wieku XIX zdobył się w tej dziedzinie na wysiłek, niezapomniany w historji kultury. Znaleźć można dziś jeszcze na strychu lub w rzadko otwieranej szafie bibljotecznej „Dziennik Literacki“, który wychodził we Lwowie przez lat ośmnaście od r. 1852 do 1870. Ani przedtem, ani potem nie było chyba we Lwowie takiej redakcji jak ta „przy ul. Chorążczyzny w domu Schneidra“ i takiego w całej Polsce czytywanego pisma, jak ów „Dziennik Literacki“. W mowie, wygłoszonej nad grobem jednego z redaktorów tego pisma, nazwał Tadeusz Rutowski „Dziennik Literacki“ „matecznikiem, z którego wylągł rój pisarzy, w Polsce całej sławnych“. Nie było w tem przesady. Gdy wertujemy zbutwiałe i żółte roczniki Dziennika, to wybłyska z nich dziś jeszcze jakiś renesansowy temperament, chociaż twardo cenzurą krępowany, zadziwia nas na każdym kroku bogactwo treści, wytworność nazwisk i wysoki poziom kulturalny wydawnictwa. W „Dzienniku Literackim“ bić poczęły pierwsze źródliska wielu prądów umysłowych, które potem ton nadawały życiu następnych pokoleń, a dawno wyszły z pamięci. Ilu to idei był on piastunem, ilu talentów kolebką. Nie powinien być zapomniany w historji literatury, tak jak niezapomniane jest

schleglowskie „Ateneum“ i „La Muse Française“ romantyków francuskich, i „Przegląd Tygodniowy“ Wiślickiego. Zaprawdę matecznik czcigodny i dostojny. Z korektorów tego pisma wyrośli znakomici publicyści, jego korespondenci prowincjonalni zasiedli później na katedrach uniwersyteckich, a sprawozdawcy teatralni stali się luminarzami literatury.

Któż-bo święcił prymicje na łamach „Dziennika“, kto skromnie prosił redakcję o zaszczyt druku „w razie miejsca w numerze?“ Na szpaltach „Dziennika Literackiego“ urodził się talent literacki Adama Asnyka (1864) i Mieczysława Romanowskiego (1854), tu debjutował Józef Szujski (1856), tu Władysław Łoziński pisał pierwsze nieśmiałe korespondencje z Sambora (1862), a stary Estreicher ogłaszał pierwsze materjały do swej epokowej bibljografji. Tu Jul. Klaczko po raz pierwszy prace swe polskie w druku oglądał. W „Dzienniku Literackim“ brali dalej chrzest pióra: Jan Lam i Kazimierz Chłędowski, Zygmunt Miłkowski i Stefan Pawlicki, Aureli Urbański i Tadeusz Romanowicz, Ludwik Kubala i Władysław Bełza. Tutaj wreszcie dokonało się „rinascimento“ kultu Słowackiego. Zważmy tylko, jakie przepyszne skrypta gromadziły się na biurku redaktora i jak często artykuł czy wiersz, do jednego tylko numeru przeznaczony, miał zostać odtąd w kulturze polskiej na zawsze. Oto „Rozmowa z matką Makryną“ lub „Podróż na wschód“, albo też gdzieś w kąciku jednego z numerów skryty mały wierszyk, tak rozpoczęty:

„Daremne żale próżny trud,
Bezsilne złorzeczenia;
Przeżytych kształtów żaden cud
Nie wróci do istnienia“.

A tylko najbliższe grono członków redakcji wie, że pod pseudonimem El-y kryje się student heidelberski i członek rządu styczniowego, chwilowo literat bez zajęcia, Asnyk. Gdzie indziej pada oko na tłumaczenia Szopena, podznaczone literami K. U. I czytamy znowu rzeczy od dziecka znane:

„Jego dotąd niema, a duszyczka roi —
Ciągle zadumany przed oczyma stoi!“

Ciekawych rzeczy dowiecie się nieraz o ludziach, którzy w „Dzienniku Literackim“ wyżywali swą młodość bujną i błąkali się długo, nim wreszcie siebie odnaleźli. Czasem zdaje się, że to błąd, lub figlarna mistyfikacja historyka — takie dziwne tu ujrzysz pomieszanie umiłowań i rodzajów pracy literackiej. I tak np. późniejszemu patrjarsze szkoły krakowskiej Szujskiemu (lat 25) wydaje się, że dorasta w nim co najmniej Szekspir albo Juvenalis. Pisze dramaty historyczne, anakreontyki niefrasobliwe, ballady, powieści współczesne i zgrzytliwe satyry prozą, które nieraz gromy ściągają na redakcję ze strony cenzury. Natomiast czerwony później trybun, teraz 18-letni Tadeusz Romanowicz jest narazie spokojnym historykiem i układa rozprawy o powstaniu listopadowem. Jan Lam (lat 22) kroi na poetę i biedzi się pracowicie nad przekładem Heinego. Ludwikowi Kubali (lat 22) marzą się laury sceniczne: jedenastozgłoskowym wierszem układa tragedje o Michale Glińskim. Natomiast 25-letni Adam Asnyk jest autorem — humoresek prozą z życia hreczkosiejów. Młodszy odeń K. Chłędowski dowodzi niezbicie, że niema Boga, natomiast czerwony socjalista Limanowski opracowuje sentymentalne fejletony o Emilji Plater. Ani się śni jeszcze o komedjopisarstwie Bałuckiemu. Zato kropi masę

wierszy i powieści. Poetą jest także prof. Józef Tretiak, klepiący gdzieś biedę na emigracji. Upaja on się młodością w erotykach i światobórczych rymach, które równocześnie pisują przyszły historyk prawa Aleksander Rembowski i Adam Bełcikowski. Albowiem i oni nie skończyli jeszcze lat 20-stu.

Cała twórczość polska piątego i szóstego dziesiątka wieku XIX ocierała się o „Dziennik Literacki“. Oficerowie sztabowi literatury i nowozaciężni pospolitacy stawali w jeden rząd. A do tej lwowskiej redakcji chyba po raz pierwszy przynosi poczta listy z całej Polski i z całego świata, — z Warszawy i Poznania, z emigracji paryskiej i Brukseli, z Drezna i z Heidelbergu. Za parę guldenów nadsyła Teodor Tomasz Jeż funtowe powieści z Belgradu. Lenartowicz zgłasza się na apel z Florencji, Giller z Bendelikonu, Norwid z Paryża, Sabowski z Brukseli, Pług, Ilnicka i Kraszewski z Warszawy, Wilkońska i Pawlicki (jeszcze ani ksiądz, ani filozof) z Poznania. Jeden ze współpracowników poetyckich był konsulem francuskim na wybrzeżu Afryki w Zanzibarze (Henryk Jabłoński), inny budował koleje i strzelał kozły w dzikich stepach Anatolji (Karol Brzozowski). Nie mógł nikt „Dziennikowi“ zarzucić, że jest zaściankowy: „high life“ literacki mieszał się z szarym tłumem debjutantów. Było zawsze w tem starannem piśmie więcej współpracowników, jak — czytelników. Bujniejszy od „Bibljoteki Warszawskiej“, poważniejszy i nie obrazkowy jak „Kłosy“ — jest „Dziennik Literacki“ w całej ówczesnej prasie polskiej jedynym poważnego typu tygodnikiem.

Prym wiodą w „Dzienniku“ poeci. A najpierwszą szpalt tego pisma zasługą, że w niem po raz pierwszy objawił się Juljusz Słowacki w całem królewskiem bo-

gactwie swej pośmiertnej twórczości. Ów lwowski tygodnik miał „oddać białe jego kości w straż kolumnowym czołom“. Lwów dziwił się zrazu trochę, napotykając na szpaltach nowego pisma nazwisko, które czemże było wówczas wobec wielkości Mickiewicza i Krasińskiego? Jaka taka sawantka wiedziała o Juljuszu, że był podobno dziwacznym pustelnikiem, mieszkał w Ziemi Świętej i tamże w obłąkaniu życia dokonał. Szajnocha wraz z Małeckim odkryli Słowackiego na szpaltach „Dziennika“, na których stanęło po raz pierwszy jego *sella curulis* w literaturze. Tu Juljusz Starkel objaśniał w r. 1866 czytelnikom po raz pierwszy z przedziwną intuicją tajemnice „Króla Ducha“, przepowiadając jego epokę w literaturze, zaś Antoni Małecki uważał za stosowne usprawiedliwić się, skąd przyszło mu na myśl „pisać tak obszernie o człowieku, który w społeczeństwie zajmował *tylko* skromne stanowisko pisarza“, zaczem następowało zaproszenie do szanownych przedpłacicieli pism pośmiertnych, iżby kwotę potrzebną złożyli u Wielmożnego Krawczykiewicza w Kasie Oszczędności.

Sfinksowy Cyprjan Norwid dawał się również czasem słyszeć w lwowskiem piśmie. Przysłał tu swoją przedziwną tragedję w jednym akcie „Słodycze“ i garść wierszy lirycznych. Krasiński zżymał się wielce w listach do Koźmiana, ujrzawszy w r. 1852 w „Dzienniku“ urywki ze swych listów do Słowackiego. Aż trzy generacje poetów głos zabierają. Napotkasz tu i ostatnie poszumy zdartego w strzępy sztandaru klasyków: uroczysty rym Koźmiana lub gładki wiersz Morawskiego. To znowu poprosi o głos stary lirnik Bohdan Zaleski, ciągle jeszcze obiecujący królestwo boże na ziemi. Odyniec, lub Seweryn Goszczyński, który na

ostatnie lata do Lwowa przyjechał. Ale nie oni są już najcenniejsi. Herosem i półbogiem Lwowa jest Jeremi z Zubrzy, a świętem dla redakcji chwila, w której posłaniec z podlwowskiego folwarku kopertę z rymami przyniesie. Teofil Lenartowicz liczy się do najgorętszych przyjaciół „Dziennika" i nieraz na jego szpaltach ku swej Polsce tęskni. Natomiast niema Pola Wincentego, który, draśnięty boleśnie przez Ujejskiego, nigdy się z „Dziennikiem" nie pogodzi. A potem ten, bez którego panteon romantyzmu nie byłby wykończony, poeta, co „Odę do młodości" życiem i śmiercią wyśpiewał: Mieczysław Romanowski. Na kanwie „Dziennika" haftowała się cała jego twórczość. Tu święcił prymicje autorskie, próbując się także w prozie, fejletonach, nawet powieści i studjach historycznych, oraz drukował przeważną część swych wierszy lirycznych. Ktokolwiek wtedy w Polsce wiersze pisze, „Dziennika" nie omija, a dumny jest ze współpracownictwa w tem piśmie. Spotkacie gorącą Żmichowską i rozczochranego Zmorskiego, który narzeka, że „Pan Tadeusz" nauczył poetów polskich sybarytyzmu. Odezwie się czasem zmarnowany librecista „Halki" Włodzimierz Wolski, towjańczyk Baliński, zmanierowana Deotyma, Elżbieta Bośniacka, Apollo Korzeniowski, Adam Pług, Władysław Sabowski. A jeszcze dodać trzeba gromadkę poetów redakcyjnych, wieszczów nadpełtwiańskich, których sława często poza rogatki lwowskie nie wybiegła, choć czasem dobrze o nich mówią historycy literatury. Najpierw dzielny liryk, druh Romanowskiego, równie młodo jak tamten zgasły, Bruno Bielawski, dalej marzyciel z Chrystusową brodą Mieczysław Pawlikowski z Medyki, wreszcie doskonały tłumacz Szekspira, Adam Pajgert, także dwóch hrabiów, bałamucących się literaturą:

Wiktor Baworowski i Ludwik Jabłonowski oraz cały legjon bezimiennych, kryptonimowych naśladowców modnego Musseta, Huga, Heinego. Pomyśleć, jak spory szmat dziejów liryki polskiej zawarł się w „Dzienniku“: od Koźmiana do Asnyka, od Syrokomli do Romanowskiego, od Słowackiego po — Bełzę!

Wielka płachta dziennika często w jednej trzeciej części zasiana była rymami ku uciesze czytelników owych czasów, którym strofa poetycka była nieomal do życia potrzebna. Lecz z większą jeszcze żarliwością sycono się tasiemcowym ciągiem powieści. Dwie albo trzy drukował „Dziennik“ równocześnie. Albowiem nie wolno było umieszczać co innego. Literackim został tylko — z konieczności. Miły Boże! Czerwone pióra tych zapaleńców rwały się do służby narodowej, publicystycznej, radeby wypłakać się w piśmie i wykłócić dosyta, lecz im nie było wolno. Artykułem wstępnym w numerze mogła być tylko powieść, bo ją jeszcze pan cenzor najłatwiej strawiał, a czytelnik najchętniej przyjmował. I stąd wszczął się w „Dzienniku“ rozwój powieści współczesnej, opartej o wypadki bieżące, lub niedawne z intrygą czarną *à la* Sue i kolorytem historycznym *à la* Dumas. Tę samą ważną rolę, którą od lat dziesiątków wziął w reszcie Polski na swe tytańskie bary Kraszewski, spełniały w Galicji roczniki „Dziennika Literackiego“: Flauberta zastępywał im Kaczkowski, hrabiego Monte Christo — Czarny Matwij, a Jana Pawła Richtera Teodor Tomasz Jeż.

Jak w inne dziedziny myśli polskiej tak i w sferę powieści wniosła Galicja swój bujny, zawadjacki, trochę parwenjuszowski temperament. Trzy nowe firmy powieściopisarskie rodem ze Lwowa weszły w tym czasie za sprawą „Dziennika“ do literatury: najpierw Józef

Dzierzkowski, autor „Króla dziadów“, „Salonu i ulicy“, równie płodny i rzutki jak nieporządny i dorywczy producent romansów *en masse*, zamykany w redakcji na klucz, boby inaczej nie pisał, potem gderliwy i nudny zrzęda, pesymistyczny reformator społeczności Jan Zacharjasiewicz, nakoniec najzdolniejszy z nich wszystkich, dziś niesłusznie zapomniany, młodo zmarły, jak Grottger i Romanowski — Walery Łoziński. Obaj synowie pana pocztmistrza ze Smolnicy przyjechali do Lwowa z buławami marszałków w tornistrach uczniowskich: Walery z młodszym bratem Władysławem, i obaj jęli zapełniać szpalty „Dziennika“ powieściami. Walery już od r. 1857, Władysław w parę lat później. Władysław zmienił później umiłowania, kierując się ku teatrowi i starożytnościom, na Walerego zaś już od chwili debjutu zwróciły się baczne oczy czytelników i redaktorów. Kraszewski ani w części nie miał wtedy w Galicji tej popularności, jaka odrazu przypadła twórcy „Zaklętego dworu“, „Czarnego Matwija“ i nieskończonych „Dwóch nocy“. Są to romanse, pisane pospiesznie, ale czupurnie i dziarsko. Czasem naiwne w sileniu się na koloryt, po dziecinnemu jaskrawe, ale rasowe i pełne tempa w intrydze, pomysłach, rysunku, postaci. I tak buńczuczne, jak profil młodzieńca. Spróbujcie wziąć do rąk tom „Zaklętego dworu“, a dziś jeszcze z zapartym oddechem dociekać będziecie pilnie strzeżonej przez autora tajemnicy, kim był właściwie brudny maziarz z „Zaklętego dworu“ lub śmiać się do rozpuku z wesołych, pysznie opowiedzianych przygód zaszytego w kołdrę mandatarjusza w „Czarnym Matwiju“! Owe drgające życiem salony arystokracji i arcyśmieszne figurynki austrjackich urzędników, uciśnione dziewczęta, zakochane w emisarjuszach, ożywały

pod piórem młodzieńca, który mało umiał jeszcze i mało na świecie widział. Cóż mógł przeczytać do swych lat 19tu: kilka powieści Suego i Paul de Cocka z wypożyczalni Wilda, a widział też nie więcej, dwa miasta: Sambor i Lwów. Wszelako młodzian zakasował wszystkich: szarego Jeża i mdłą Wilkońską, poczęści nawet Kaczkowskiego i mistrza Kraszewskiego, którzy równocześnie dawali się słyszeć w tem piśmie. Można rzec bez przesady, iż do czasu trylogji nikt wśród lwowskich czytelników nie zdobył od roku 1860 tyle popularności, nikt też nie napsuł tyle krwi cenzorom. Lecz krótko błyszczał meteor: już w r. 1861 zmarł Walery Łoziński z rany, odniesionej w pojedynku. A byłby w nim dorósł beletrysta najpierwszej wody! Powieści Łozińskiego, wiersze Miecza Romanowskiego i temperament Dobrzańskiego dawały ton rocznikom „Dziennika" w latach przedpowstaniowych 1857—1861. Ten ich tupet, trochę romantyczny, czasem martwy i nadmiernie afektowany, budził nieraz zastrzeżenia poza rogatkami Lwowa. Taki np. Józef Szujski, choć sam też niedawno skończył lat 20, pokpiwa trochę, przybywszy do Lwowa w r. 1859: „Poznałem imci panów literatów, którzy mnie fetowali i sadzali na kanapie. Centrały, demokraty z rozczochranemi łbami. Wszystko racjonaliści, a koniecznie im się zdaje, że coś nowego wymyślili... Ta młoda Polska z „Dziennika Literackiego" jest trochę głupia, ale poczciwa." Tak pisał Szujski w pierwszych latach wychodzenia „Dziennika", atoli już niedługo szczycić się będzie, że może należeć do rzędu jego współpracowników.

Obok powieści umiłowaniem redakcji jest historja. Do dziś pozostał „Dziennik" zasobną kopalnią mate-

rjałów, studjów i opracowań historycznych. Nieoszacowane są pod tym względem dwa pierwsze roczniki, wypełnione barwnem piórem Szajnochy, kryjące też niejedną dysertację Bielowskiego. Później Henryk Szmitt drukował tu dosyta swych pracowitych, lecz ciężkostrawnych studjów i znosił całe naręcza dokumentów do dziejów St. Augusta. Gdy zaś zelżały nieco więzy cenzury, „Dziennik“ począł z wielkim zapałem rozświetlać wypadki najnowsze od r. 1831. „Zrobiwszy sobie celem pisma — pisała redakcja w r. 1860 — wyjaśnianie najbliższej przeszłości rozprawami historycznemi postaraliśmy się o szereg pamiętników z lat 1846 i 1848“. Sypały się odtąd obficie, aż za obficie, wspomnienia z epoki spisków i powstań. Czerwoni panowie w czarnych okularach snuli przędzę dziejów więzienia w Grajgórze i Kufstajnie, wyjaśniali wiosnę ludów i rabację chłopską. Później przyszedł Szujski ze swemi olśniewającemi bystrością pomysłami historjozoficznemi, potem najmłodsi, Liske i Kętrzyński, ogłaszać poczęli rozprawy wedle nowożytnych wymagań metody historycznej. Więc i w tej mierze lwowskie pismo było zwierciadłem rozwoju nauk historycznych od Szajnochy do Liskiego.

Przynosił „Dziennik Literacki“ staranne recenzje teatralne i artystyczne oraz barwne, dobrze pisane korespondencje. Krytyka teatralna miała we Lwowie tradycję od czasów Leszka Borkowskiego, który w latach 1840tych jeszcze zjadliwie chłostał scenę w „Dzienniku Mód Paryskich“. Na fotelu recenzenckim „Dziennika“ niebyle kto siadywał. Bo najpierw, choć dorywczo, Szajnocha, zkolei (w r. 1858) twórca „Chorału“, zachwycający się grą jakiejś panny Zarembianki, potem sam redaktor Dobrzański (1860—1864), którego uwagi o dramatach Słowackiego możnaby

i dziś powtórzyć bez wykrzyknika, dalej rozważny, sam się w dramacie próbujący Juljusz Starkel, nakoniec Wł. Łoziński, błyszczący wyszkoleniem teoretycznem i już wówczas wytworny w piórze, bystry (pozna się odrazu na Modrzejewskiej), ale kąśliwy, tak że mu nawet dyrekcja w r. 1866 odbierze bilet do teatru, i za co? za to, że srodze zgorszony, zbeształ... „Piękną Helenę". Krytyka sztuk plastycznych, opiekująca się serdecznie głodującymi malarzami Lwowa, z których pracowni bywają tu częste wzmianki, ma, obok wielu innych, jedną kartę w „Dzienniku" szczególnie pamiętną. Oto gdy w r. 1866 wystawiono w sali ratuszowej we Lwowie po raz pierwszy „Lituanię" Grottgera — „Dziennik" powitał ekspozycję w gorącym, nad podziw trafnym artykule Juljusza Starkla i pierwszy w Polsce poznał się na znaczeniu kartonów mistrza. Korespondencje przynosił „Dziennik" z wszystkich stolic Polski i zagranicy, chociaż najtrudniej było o kontakt z Warszawą, który chromał zawsze, a uwidaczniał się raczej w częstych przeglądach pism warszawskich. Z Krakowa pisywali na zmiany Chłędowski z Bałuckim, z Wiednia Ludwik Gumplowicz, z Poznania Pawlicki z Wilkońską. I wszyscy społem tęsknili ku lepszym czasom.

Na literaturę pozwalała jeszcze prokuratorja, acz z biedą, skoro nawet z powieści i sonetów wykreślał często pan cenzor myśli niespokojne. Gdy jednak chodziło o artykuł polityczny, gdy sprawa (przez wielkie S) była w grze, wówczas rzadko tylko i z trudnością największą udawało się redakcji przemycić rzecz cichutko pod niepozorną formą „zapisków literackich" czy też zjadliwych „portretów Nie — Van Dycka". Pisywał te ostatnie Szujski w sposób bardzo ostry, nie bacząc, że się czasem boczyli o to szanowni czy-

telnicy. „Brakuje nam łączności i spójności, wołał krakowski Juvenalis, przyszły współtwórca „Teki Stańczyka“, — nie wiecie, co to karność i posłuszeństwo. „Jesteście, jako owce rozstrzelone, a głos natchnienia narodowego nie faluje w was jednostajnym prądem“. W uciskanych przez cenzurę pętach publicystyki błyskały nieraz w „Dzienniku“ idee, które dopiero po latach podejmie jako hasło pozytywizm warszawski. Dość przypomnieć ów słynny artykuł Ludwika Powidaja: „Polacy i indjanie“, w którym Chmielowski upatruje pierwsze sformułowanie hasła pracy organicznej, dość przytoczyć tyle głośne „Listy z pod Lwowa“ Ujejskiego, o które omal się nie pobili wszyscy członkowie redakcji, dalej liczne dyskusje nad głośnym wówczas problemem t. zw. polskiej niższości cywilizacyjnej, nad filozofją Comte'a, o czem wiele pisali Chłędowski, Starkel, Romanowski i Powidaj.

Gdy nareszcie po dyplomie październikowym Galicja uzyskała zupełną wolność słowa i zaroiła się od pism codziennych, zdawało się, że ten czcigodny weteran, który przez tyle czasu o wolność prasy walczył, do niej tęsknił i za nią boleśnie cierpiał, stanie na czele wydawnictw lwowskich. Tymczasem dyplom październikowy był, o dziwo, wyrokiem śmierci dla lwowskiego Ateneum. „Dziennik Literacki“ stracił rację bytu. Już czytać staruszka nie chciano, nikt do rąk nie brał jego tęsknych poezyj i sensacyjnych powieści, jego więziennych pamiętników i studjów literackich. Tysiączny do niedawna zastęp odbiorców topniał z dniem każdym. Staruszek nadążał czasowi, jak umiał. Z „literackiego“ stał się „literackim i politycznym“, jął pisać o kolejach i radzie państwa, o ustroju gminnym i wyborach, o żydach i szkołach ludowych, ale dogonić

codziennych pism politycznych już nie potrafił. Wtedy dał za wygraną i po ośmnastu latach służby narodowej opuścił skrzydła, zwinął loty wysokie i zlał się w r. 1870 z popularno-obrazkową „Mrówką".

Zajrzyjmy teraz choć na chwilę do redakcji „Dziennika" by poznać sterników, którzy kierowali owem mądrem, najlepszem w Galicji, a jednem z najlepszych w Polsce pism literackich. Człowiek, który w grudniu 1852 roku oddał na prasę pierwszy numer nowego pisma, uczynił to ze łzą rozczulenia w oku. Wydawanie pisma tygodniowego było bowiem dla Lwowa oddawna już tęsknotą nieziszczalną, pachnącą kryminałem, tęsknotą spełnioną kiedyś na krótko przez „Dziennik mód paryskich", a później przelotnie za czasów wiosny ludów. Teraz zaś w dobie odrodzonej reakcji udało się jakoś Karolowi Szajnosze wydeptać policyjne *bewilligung*. „Wiesz już zapewne od Augusta (Bielowskiego) — tak pisał do redaktora „Czasu" w Krakowie — że od nowego roku ma tu wychodzić jednoarkuszowy co tydzień „Dziennik literacki", który ja razem powozić mam i ciągnąć". Pismo pozyskało na początek trzech przygodnych współpracowników i pięciu stałych prenumeratorów. Jak na jałowe czasy po r. 1848 wcale dużo. Współpracownicy byli zresztą nie najgorsi. Przy biurku naczelnego redaktora leżał np. worek ogromny, wypełniony poezjami niejakiego Juljusza Słowackiego, więc w sytuacji krytycznej łatano numer jakowymś „Królem duchem" albo listami do matki. Szajnocha, który dla tej redakcji odbieżał starych kronik i pergaminów, oraz porzucić musiał bakalarstwo i tłumaczenie niemieckich książek kucharskich, utrzymujące go przy życiu — ciągnął i poganiał z zapałem, wierząc, że może kiedyś, po latach, uda mu się

pozyskać — szóstego stałego odbiorcę. „To, co „Dziennik“ zawiera — czytamy w jakiemś wyznaniu Szajnochy z r. 1852 — zwłaszcza w ostatnich 4—5 miesiącach, jest wyłącznie pracą mojego pióra. Wstydząc się sam siebie, muszę od kilku miesięcy w każdym numerze odgrywać komedję przystrajania się co chwila z tego, czem mię Bóg stworzył, w rozprawiacza dziennikarskiego, z rozprawiacza w powieściopisarza, z powieściopisarza w krytyka albo korespondenta. Podejmując się redaktorstwa, ani śniłem o takiej pustyni literackiej, jaka mnie otoczyła, jaka w obecnej chwili otacza każde literacko-dziennikarskie przedsięwzięcie w Galicji. Przekonanie się o tem opłaciłem ofiarą zupełnego zrzeczenia się na rok cały własnych zamiłowań, studjów i prac literackich“.

Przy poparciu Bielowskiego, Ujejskiego, a także Batowskiego i Supińskiego prowadził Szajnocha przez rok redakcję „Dziennika“ i miał jej aż zanadto. Wkładał w rzecz dużo pracy i wytwornego talentu, nawet niemało lotności publicysty, niemniej wszakże brakowało mu sprytu wydawniczego. Więc mimo rozgłośnego uznania i kilkuset zdobytych odbiorców ustąpił po roku z pola. Ustępując pragnął Szajnocha złożyć redakcję w ręce młodego historyka i spiskowca Henryka Schmitta, co wszakże nie uzyskało aprobaty władz, zaczem udało się nakłonić Augusta Bielowskiego, aby się zajął redakcją, który znowu do pomocy przybrał sobie młodego malarza i poetę a przyjaciela Cyprjana Norwida, Felicjana Łobeskiego.

Zapewne że Bielowski, pogrążony w średniowieczu dziejopis, ślęczący nad pra-dziejami Polski, mało miał danych na kierowanie pismem dla sfer szerokich i z trudem wielkim musiał przypominać sobie dawne

poetyckie umiłowania z lat młodych. Ale robił, co mógł po ustąpieniu Szajnochy. Rozczulające były wysiłki Bielowskiego. „Aby ratować stronę romansową dziennika, — tak żali się w liście do Szajnochy — która z klęską najdotkliwszą wszystkich serc czułych bardzo się po Twym odjeździe pochyliła, wyciągam z zakamarków różne pamiętniki, te zwłaszcza, w których sceny miłosne zachodzą i podpieram jak mogę, zachwianą u płci pięknej reputację dziennika — alebyś nie zgrzeszył, gdybyś sam jaką powiastkę napisał i przysłał". A prenumeratorzy pisma, coraz liczniejsi, czekali cierpliwie odmiany losu.

Rozwój pisma począł się dopiero z chwilą, gdy w r. 1856 stanął na czele redakcji Jan Dobrzański (*1828 †1886). Wulkaniczny chorąży roku 48-go, ogłoszony wówczas „królem polskim" przez ulicę Lwowa, zadzierzysty „Jan IV", o którym przez pół wieku głośno będzie w polityce galicyjskiej, wieczny oponent i polemista, sterował „Dziennikiem Literackiem" przez lat 12-ście. Brzydki i niesympatyczny z wejrzenia, z wielką blizną na lewym policzku, jednał literatów dwiema „szóstkami" zaliczki, które wydobywał z kieszonki w kamizelce, prenumeratów zaś łokciowemi odcinkami powieści oraz dodatkiem nowych mód. Dobrzański był redaktorem sprytnym, rzutkim i pomysłowym. Ani szykany cenzury, ani apatja ogółu zniechęcić go nie zdołały. „Dziennik Literacki" nietylko utrzymał się na powierzchni, ale dosięgnął niesłychanej w ówczesnych stosunkach cyfry 2-tysięcznego nakładu. W latach 1856—1859 Jan Zacharjasiewicz, Walery Łoziński i Karol Widman stanowili sztab najbliższych współpracowników pisma, w latach 1859—1865 pomagali Dobrzańskiemu Henryk Szmitt i Władysław Zawadzki. W gronie tem,

nawiasem mówiąc, zrywały się nieustanne utarczki i swary, których echo przedostawało się nieraz na łamy prasy warszawskiej. Redaktorem pisma, wychodzącego dwa razy w tygodniu, był Dobrzański tylko z musu, albowiem nie mógł wykołatać koncesji na pismo codzienne. Gdy ze zmianą stosunków politycznych stało się to możliwem i w r. 1862 zaczęła wychodziś „Gazeta Narodowa“ — „król polski“ sam sobie stworzył konkurencję, a zaniedbywany przezeń „Dziennik“ zaczął gwałtownie tracić prenumeratorów i obniżać swój dawny lot wysoki. Po ustąpieniu Dobrzańskiego w r. 1865 powrócił pismu dawną świetność i dodał nowych blasków jego następca Juljusz Starkel (*1840 †1918), literat młody, dużej kultury i wiedzy. Trzyletnia redakcja Starkla był to najświetniejszy okres rozwoju „Dziennika“, oddychającego teraz pełną piersią po ulżeniu cenzury. Podwyższyło się znacznie *niveau* pisma, miejsce staroświeckich powieści zajęły pełne polotu sprawozdania z ruchu umysłowego na zachodzie, ożywił się dział korespondencyj z wszystkich dzielnic i krytyki artystycznej. Kraszewski był tem zachwycony i pisał do redaktora z Drezna: „Jesteście jednym z głównych pracowników przyszłości, wytrwajcie tylko!“ Cóż, kiedy ludek lwowski zasmakował już na dobre w strawie gazeciarskiej i zapominał coraz bardziej o swym dawnym wychowawcy. Pomimo wysiłków Starkla i Wł. Łozińskiego, pomimo wszystkie świetne pióra, których wykaz zdumiewał nas we wstępie, „Dziennik“ chylił się do upadku. Po ośmnastu latach pracy nad wychowaniem młodej generacji przestał wychodzić najlepszy z tygodników lwowskich w XIX stuleciu.

DZIEWCZĄTKO Z ORŁEM BIAŁYM.

Sukienkę miała w paseczki,
Perkalikową,
We włosach polne kwiateczki,
Twarzyczkę zawsze różową.
Nie było piękniejszej dzieweczki,
Daję wam słowo...

Adam Asnyk.

U kolebki budzącego się w latach 1860-tych Lwowa czuwa dziewczątko z orłem białym. Znacie je dobrze z fotografji, powszedniej w każdym starym albumie. Wszystko jedno czyjej fotografji, jeśli ma tylko na odwrocie wyciśniętą firmę Szaynoka, Stahla lub Rodeckiego. Na każdej widać gładko uczesaną główkę i cudaczne kręgi krynoliny oraz bluzkę muślinową z „szutasiem“ i rękawy, górą marszczone. Na szyi broszka z orłem białym i napis: „Boże zbaw Polskę“.

I krzyżyk czarny na szyi.

Ten ostatni najważniejszy. Podobnie jak w wersalskim żyrandolu pokutuje duch świetlistego Ludwika, jak w średniowiecznym inicjale zamknięto psychę średniowiecza, a w bronzach starego sekretarzyka śni o sławie legenda napoleońska — tak w tym krzyżyku czarnym zamieszkał smutny i ognisty duch epoki styczniowej.

Historja dziewczątka z orłem białym jest najpromienniejszą ze wszystkich historyj lwowskich. Jak gdyby bukiet z kwiatów: napoły zwiędłych i żywych napoły. Uwiędły różne egzaltowane roślinki z tej wiązanki, ale świeży trwa dotąd bluszcz zasługi. Wielbione są w dziejach literatury warszawskie entuzjastki; z ich grona wyszła wielka artystka słowa: Żmichowska. Lwowskie rówieśnice entuzjastek nie wydały z pośród

siebie żadnego wielkiego nazwiska i wogóle żadnej poetki, ale jako całość są zupełniejszym od tamtych wyrazem czasów styczniowych. I najposłuszniejszemi uczennicami ideału romantycznego, albowiem dopełniły w całości mickiewiczowskiego przykazania o matce polce.

Panienka z orłem białym pochwał zresztą nie potrzebuje. Jest i bez nich — nieśmiertelna. Jej główkę uwiecznił Grottger, do serca zajrzał Asnyk, zapał wyśpiewał Romanowski, a ból zaklął w jeremjadę Ujejski. Ci wszyscy patrzą na nią z nabożeństwem. Z jej oczu „Ojczyzny widmo wywołują“, z jej serca biorą i do jej serca zanoszą wszystką miłość Sprawy. Albowiem dziwny i trudny wzięła na się obowiązek. Stała się w austrjackim zaborze ambasadorem i posłannicą wielkiego mocarstwa: Polski, która mimo wszystkie przeciwności potężna jest i niezmierzona. Śniegi sybirskie przyłączył do jej ziem biały Anhelli, a granice sięgają powszędy, gdzie jeno zasłyszano — o mazurku Chopina. Gdy wyjdzie zamąż dziewczątko z orłem białym, wychowa swe dzieci na obywateli tego wielkiego państwa.

Przyszła na świat w roku wiosny ludów i pamięta do dziś, że granaty Hammersteina pękały z hukiem na ulicach. Od tego czasu nie ufa najjaśniejszemu panu i nienawidzi jego oficerów. W domu rodziców najróżniej. Papa tytuły pieści, z senatorów się wiedzie i deputatem stanowym bywał, lecz częściej pieczętuje się tylko — pieczątką, lub nawet, i to nie rzadko, ledwie polszczyznę kaleczy, bo jest, o dziwo, przysłanym z Wiednia beamterem. Wtedy wychowują dziewczę rodzice przybrani: Adam Mickiewicz z Klementyną z Tańskich. I emisarjusz z przyprawioną brodą, o fałszywem nazwisku. I zdarty tom Kraszewskiego z wypo-

życzalni Wilda. I śliczne szkice Szajnochy. I broszka srebrna z napisem: Boże zbaw Polskę!

Chodząca poezja, wcielony hymn romantyczny. Sama, na szczęście, wierszy nie pisze. Z tem większym jednak zapałem deklamuje je, śpiewa i — przepisuje. Przepisuje wedle zwyczaju, powszechnego w tym czasie. Całego Pola, całego Krasińskiego, „Pieśń o ziemi naszej“, „Irydiona“, „Skargi Jeremiego“. Bo to książki zakazane, których nie znaleźć w księgarni. Im mniej rozumie, tem więcej pisze. Najgorzej ze Słowackim. Jeszcze można pojąć Kordjana, ale Anhelli? Chyba prawdą jest, że ów Słowacki był dzikim pustelnikiem i umarł obłąkany w Ziemi Świętej? Chociaż nie, bo państwo Januszewscy z Ubienia mówią, że był ich kuzynem.

Wpośród najtkliwszych pamiątek, w sztambuchu, który jeszcze nie wyszedł z mody, mieści się kwiatek, zerwany u mogiły Juljusza i garść ziemi z grobu Adama, zaś twórcę „Irydiona“ widziało dziewczątko na własne oczy, w Gräfenbergu, gdy pił wodę u Priesnitza. Kult trzech wieszczów jest wielki, żywy, gorący, i chyba tylko jedna była pani we Lwowie, którą aż „Dziennik Literacki“ wyśmiał, gdy na wieść o śmierci Mickiewicza rzekła: „Szkoda tego pana Mickiewicza, kupca z Halickiego, zawsze kupowałam u niego szyfony“.

A potem Chopin. Gruby pan Mikuli był jego uczniem, więc lekcyj mistrza i koncertów słucha dziewczątko z nabożeństwem. I nie stworzyłby nigdy Ujejski „tłumaczeń Chopina“, gdyby nie przedziwna gra jego Beatryczy, świetnej wirtuozki pani Wildowej. I jeszcze jedna dusza romantyzmu włada Lwowem lat 60-tych: Klaudyna Potocka. Uczyniły z niej świętą patronkę narodową, noszą srebrno-czarne pierścienie z napisem:

„Klaudyno, módl się za nami!“ zakładają związki oświatowe imienia Klaudji. Dziewczątko z orłem białym jest od pokuszeń świata dalekie. Romansów prawie nie czytuje, najwyżej i to ukradkiem, „Trzech muszkieterów“ Dumasa, przenigdy panią Sand lub Eugenjusza Sue. W teatrze grają pierwszą operetkę, której tytułu nawet wymienić nie godzi się: „Piękną Helenę“. Wogóle dużo rzeczy dzieje się wtedy na świecie po raz pierwszy. Pierwsze wyścigi konne za rogatką janowską w r. 1858, pierwsza kolej żelazna ze Lwowa do Dębicy, pierwsze fotografje!... Tej jednej modzie hołduje z pasją. Latem jeździ się na żętycę do Korczyna i Wełdzirza, albowiem jeszcze o Tatrach nie słyszano. Zimą wojaż do Krakowa szybkowozem, który tylko dwa dni jedzie. Największem przecież umiłowaniem dziewczątka jest praca społeczna. Panienka z orłem białym wykłada dzieciom z przedmieścia historję polską, wpisuje się nawet do bractw kościelnych, by tam pracować oświatowo. W roku 1861 potrafi codzień zimą wstawać o świcie, aby się docisnąć na galerję pierwszego sejmu galicyjskiego. Wogóle radaby „działać“ wiele, choć nie bardzo wie, jak się do tego wziąć. Nadmierna egzaltacja i patos romantyczny przycichną później, gdy do serca dziewczęcego zapuka pierwsza miłość:

Czy ja Cię kocham, powie gwiazdeczka,
Com powiernicą uczynił ją,
Czy ja cię kocham, spytaj kwiateczka,
Który ci składam, zroszony łzą...

Krasi ową miłość przemiły, seraficki wiew romantyzmu. „Ile to lat... czy my wiemy? podziałów niema w wieczności, my jak dwa duchy idziemy przez niebo naszej miłości“ — woła Ujejski w wierszu do Wildo-

wej; Romanowski kocha tak samo pannę Wandę Dybowską, Grottger w Paryżu tęskni do swej lwowskiej narzeczonej; tylko Asnyk daremnie prosi o rękę panny Anieli z ulicy Sykstuskiej, śląc przewspaniałe liryki do ukochanej i przenaiwne listy prozą do mamusi. Dziwna jest czasem para narzeczonych z owych lat. On to zawzięty pozytywista, przysięgał na Haeckla i Buckle'a, ona odprawia nowenny w bractwie różańcowem i modli się codzień do grottgerowskiego Chrystusa w cierniowej koronie, zaś wieczorem czytają wspólnie w modnym Darwinie, że człowiek od małpy się począł.

Potem młodzian wdzieje burkę szarą, weźmie ojcową skałkówkę oraz liść bluszczu na pamiątkę i odjedzie.

„Módl się za mnie lilio biała,
„Bogu poleć serca żal,
„Gdyś powstańca pokochała..."

Wiadomo, że oczekiwanie na ruch zbrojny i tęsknota ku nowej nocy listopadowej były najistotniejszą treścią bytu duchowego Galicji w latach 1850—1863, była wykładnikiem marzeń, była sensem, celem i kierownicą życia. Uważano wśród zapaleńców, że powstania powinny właściwie trwać bez przerwy, albowiem są jedynem świadectwem, że naród żyje i dąży do niepodległości. Wszelakie kalkulacje rozumu są tu niepotrzebne. Wystarczy bardzo chcieć i ogniem słów rozżarzać dusze do białości, a wtedy uda się z pewnością. Wystarczy wygrać jedną bitwę z Moskalami, by — odbudować Polskę jagiellońską. To wszystko wyczytać można wpośród strof Romanowskiego, którego cała twórczość jest jakby jedną wizją przyszłego pola walki,

jest wylotem z niemej dusznoty dnia w zgiełk grających dział. Razem z poetą czeka niecierpliwie dziewczątko, całe w słuch przemienione, rychło-li sygnał grottgerowski w szybę okna uderzy:

Szarpie będę skubała
I chorągiew uszyję,
I wydam się za tego,
Co Moskala pobije!

Serce panienki wypełniło się po brzegi ekstazą i miłością. Zazdrości wszystkim, którzy stoją blisko spełniającego się cudu, a już najwięcej owym białogłowom, co do obozu Langiewicza poszły: pannie Pustowójtow i Karolinie Szaniawskiej, przebranej po męsku, i p. Elżbiecie, i starej Marcie, bo cztery ich razem było pod Małogoszczą. Jak przedtem czekała hasła wybuchu, tak teraz wygląda wieści o zwycięstwie. Nie przychodzą. „Chciałabym się cała w łzę jedną zamienić, by za cały naród płakać“, — zapisuje jedno z dziewczątek w swym dzienniku. Pracuje w dwójnasób. Obładowana stosem kwitarjuszy, sprawozdań i tajnych proklamacyj, przekrada się chyłkiem do ogrodu jezuickiego, gdzie jest w parkanie skrzynka poczty narodowej. Lub leje kule i skubie szarpie, a nawet potrafi bagnety przemycać pod rotundą. A raz zdarzyło się, że jeden na chodnik opuściła.

— *Sie haben einen Zahnstecher verloren!* — rzeknie złośliwie austrjacki oficerek, ujrzawszy dzwoniącą o chodnik stal.

— Który mi pan natychmiast zwrócić zechcesz! — odpowie dziewczątko rezolutnie i wyrwie „wykłuwacz“ z rąk zdumionego oficera.

Potem odmieni się kurs austrjacki, w Karmeli-

tach zaroi się znowu od więźniów stanu. Dziewczątko z orłem białym przyjmie nową rolę: anioła pocieszyciela. Najpierw ze stryszków na placu Halickim wypatruje znaków od więźniów w przeciwległej kaźni, potem tysiącem podstępów przedostaje się za kratę, a wreszcie sama jest aresztowana. Musieli austrjacy utworzyć osobny oddział dla pań z lwowskiego towarzystwa, które z dumą przyszywały u rękawów szewrony aresztantek. Równie znakomity szpieg, jak powieściopisarz Zygmunt Kaczkowski zestawił w swych donosach całą listę pań, które dla bezpieczeństwa monarchji dwugłowej *sind am genauesten zu untersuchen*. Pani Aszpergierowa, gwiazda dramatu lwowskiego, do najniebezpieczniejszych zaliczona została. Dziewczątko przywdziało żałobę narodową, białą bluzkę z krzyżykiem czarnym na piersiach, i przez lata unikało sal balowych. A potem, gdy w Polsce począł się okres pracy organicznej, poszło zamąż.

— — — — — — — — — — — — — — — —

A kiedy trawa porosła na mogiłach lat i czas odmienił dziewczątko w srebrnowłosą babunię, wtedy dokonał się cud. Wstały z martwych styczniowe tęsknoty. I zatrzepotał żywy w srebrnej broszce ptak. I grottgerowski Chrystus spełnił słowa modlitwy. Jak kiedyś narzeczonemu, tak teraz błogosławiła wnukowi słowami pieśni: „O ojców grób bagnetów naostrz stal“...

1919 — 1921.

LITERATURA PRZEDMIOTU.

BARDZO PRZYJEMNE MIASTO. Źródła i bliższe wyjaśnienia przytoczonych faktów znaleźć można w pracach następujących: Łoziński Wł. Towarzystwo lwowskie na schyłku 18-go stulecia. Lwów 1872 (przedruk w r. 1921 w dziele: „Salon i kobieta“, wydał dr. M. Treter). — Dzieduszycki M. Żywot Wacława Sierakowskiego. Kraków 1868. — Ochocki J. D. Pamiętniki. t. 1—6. (Biblioteka dzieł wyborowych). — Jaworski Fr. O szarym Lwowie. Lwów, Altenberg, 1913. — Pepłowski A. Galiciana. 1778—1812. Lwów 1896. — Tenże. Z przeszłości Galicji. Lwów 1895. — Rydel L. Awanturnik 18-go wieku. Kraków 1903 (o pobycie we Lwowie str. 130 i 136). Przypadki Króla Jegomości (zebrał Wasylewski). Wydawnictwo Polskie, Lwów 1920 (Casanova we Lwowie str. 108). — Dr. Antoni J. Opowiadania historyczne. Lwów 1887. (Cagliostro we Lwowie str. 23). — Bogusławski W. Dzieje teatru narodowego. Przemyśl 1884. — Włoch Władysław dr. Polska elegja patrjotyczna w epoce rozbiorów (wiersz Galicjanki). Kukiel Marjan dr. Próby powstańcze po trzecim rozbiorze. Monografie Askenazego. t. XIX (O Walerjanie Dzieduszyckim).

ZŁOŚLIWA PANI Z GÓRY ŚW. JURA. O p. Kossakowskiej pisał dawniej L. Siemieński (Dzieła. III. str. 110 i nast.), Wawel Louis J. (Drobiazgi historyczne). Pepłowski. Obrazy z przeszłości Galicji i Krakowa i in. wydano też jej listy (Poznań 1883). Nowsze badania rzuciły więcej światła na tę postać. Por. w tej mierze: Morawski K. M. Ignacy Potocki. (str. 5. 12. 77 i 79). Pawłowski Br. Zajęcie Lwowa przez Austrję w r. 1772. (Biblioteka lwowska t. XIV). Kukiel Marjan. Próby powstańcze po trzecim rozbiorze. — Inne szczegóły wzięto z dzieł następujących: Kurjer Polski r. 1757 nr. 20; Gazeta Narodowa r. 1791 nr. 192 — Kraszewski. O Krasickim str. 265. — Borkowski Jerzy. Panie polskie przy dworze rakuskim. str. 69. — Tretiak J. Szkice literackie. Serja II. 291-2. — Mańkowski T. Dom Gal. Tow. Kredytowego Ziemskiego. Lwów 1916.

HRABIANKA LULU Z ORSZAKIEM. Wrażenia hr. Thürheim, o której już dawniej wspomnieliśmy w szkicu pt. „Orlątko", zawarte są w dziele: Gräfin Lulu Thürheim. Mein Leben. München 1913. t., II. str., 45—78.

ŻYWOT I ZASŁUGI JANA NEPOMUCYNA. Całą obszerną literaturę, odnoszącą się do życia i prac Kamińskiego, zestawił dr. Ludwik Bernacki w źródłowej pracy pt. Jan Nepomucyn Kamiński („Stulecie Gazety Lwowskiej" t. II. Lwów 1913). Kilka drobniejszych szczegółów zaczerpnięto ponadto z prac: Dr. St. Lam. Mieczysław Romanowski. Lwów 1913. Fredro Al. Intryga na prędce. Wydał Henryk Cepnik. Kraków 1917. Jabłonowski L. Złote czasy i wywczasy. (wyd. Wasylewski) Lwów 1920.

O GALILEUSZACH I O AUSTRJACKIEM GADANIU. O wojnie gen. Wurmsera z uczniakami zob: Generał Tomasz Łubieński. Warszawa 1899. I. 100—102.

CZERWONI PANOWIE W CZARNYCH OKULARACH. Jedyną pracą źródłową, acz niewyczerpującą wcale materjału, jest: J. Krajewskiego Tajne związki polityczne w Galicji, Lwów 1903. Nadto obszerna literatura pamiętników: Czaplickiego. Budzyńskiego, Borkowskiego, Wiesiołowskiego, Jabłonowskiego, Na bielaka. Nadto por. Krechowiecki. Zygmunt Kaczkowski i jego epoka. Lwów 1918. (passim); Z. Wasilewski, Z życia poety romantycznego (szczegóły o Goszczyńskim) oraz liczne, na archiwalnych studjach oparte przyczynki J. B. Chołodeckiego. — O Dembowskim zob. Stecka. Edmund Dembowski. Warszawa 1905. Z. Rudnicka. Z kart pamiętnika. Gazeta Narodowa 1889. — Apczyc. Emisarjusz (druk ulotny). (St. Koźmian.) I z bliska, i z daleka. Poznań 1881. — Dębicki L. Z dawnych wspomnień. — O Goslarze zob: Kaczkowski Z. Mój pamiętnik. Lwów 1893. — Krechowiecki o Kaczkowskim, str. 21, Romanowicz T. Julian Goslar (rękopis).

WTORKI U PANA MARSZAŁKA. Rozdział ten, oparty przeważnie na materjałach rękopiśmiennych, znajdujących się w posiadaniu autora. Ponadto: Rkp. bibl. Ossol. nr. 3222. 3227. 3330; autogr. Ossol. nr. 964. 1846—1853. Mann Maurycy. Wincenty Pol. t. I—II. Pepłowski. Z przeszłości Galicji. str. 363, 402, 523. — Finkel. Uniwersytet lwowski. — Starkel J. Z przed lat 50-ciu. Gazeta Narodowa r. 1889 nr. 148; tenże. Rok 1848 str. 109. — Zawadzki Wł. Młode lata Jana Dobrzańskiego. Gaz. Narodowa 1886 nr. 246—252. — Z. Romanowiczówna. Życiorys Felicji z Wasilewskich

Boberskiej (w jej „Pismach" Lwów 1893). — Zawadzki Wł. Literatura w Galicji. str. 141, 147. — Wasilewski Z. Z życia poety romantycznego. str. 25. — Łoziński Br. Galicyjski sejm stanowy. — Czarnik Br. Z życia J. N. Kamińskiego. Warszawa. 1890. — Zeznania Schmitta zob: Stebelski Piotr. Proces polityczny T. Wiśniowskiego. Przegląd prawa i administracji. Lwów r. 1905.

W MIEŚCIE GROTTGERA I KOSSAKA. Informacje rzeczowe o malarzach, zaciągnięte w znakomitem kompendjum prof. J. B. Antoniewicza: Katalog wystawy sztuki polskiej (Lwów 1894), dalej u prof. Mycielskiego: Sto lat dziejów malarstwa (Kraków 1894), oraz M. Olszewskiego. Rozwój malarstwa polskiego. (Kraków, Friedlein, 1907). — Biografie artystów lwowskich wedle leksykonu Wurzbacha, oraz pracy Sz. Morawskiego, ogłoszonej przez K. Bartoszewicza w „Tygodniku Ilustrowanym" z r. 1913. — Także por: Szlegiel K. Wspomnienie o Szwajkarcie. Dziennik Literacki 1856. I. 226. — Treter M. dr. Korespondencja Fr. Tepy. „Lamus" 1910. — Zarewicz St. Miniatury na wystawie lwowskiej. („Sztuka" Rutowskiego. Lwów 1912).

W REDAKCJI LWOWSKIEJ ANNO 1860. Oparte przeważnie na archiwum „Dziennika Literackiego" (w posiadaniu autora) oraz rocznikach tego czasopisma.

SPIS RZECZY.

